



# SYRENA



ROK XXII  
PARYŻ—LONDYN

## ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 28/1044 (740)

CZWARTEK 12 lipca 1962

ADAM CIOLKOSZ

### „ROZMOWY ZE STALINEM“

**N**OWA (czwarta z rzędu) książka Milovana Džilasa „Conversations with Stalin“ ma zapewnione powodzenie co najmniej równe temu, z jakim spotkała się pierwsza jego książka „The New Class“ z roku 1957. Przyczyną w pewnej mierze jest przypisanie tej książki przez autora wyrokiem pięciu lat więzienia. Człowiek, który dla wydania książki ryzykuje swą wolnością osobistą, musi mieć coś ważnego do zkomunikowania światu. Co? Recenzenci „Rozmów ze Stalinem“ wypowiadają na ten temat różne zdania i przeważnie dziwią się, dlaczego Tito popadł w wścieklność i kazał zamknąć Džilasa, skoro ten ostatni właściwie nie ujawnił niczego nowego.

Oczywiście, zamknięcie pisarza do więzienia za napisanie książki obraża — nie nie potrafi takiego faktu usprawiedliwić. Tym niemniej nie jest prawdą, by książka Vladimira Dediżera z roku 1952 ujawniła już wszystko na temat stosunków sowiecko-jugosłowiańskich i konfliktu Stalina z Titą. Džilasa opowiada nam o rozmowach ze Stalinem, w których ani Tito ani Dediżer nie brali udziału. Znajdujemy u Džilasa szereg wypowiedzi Stalina, których żaden przysły biograf Stalina i historyk ZSRR nie będzie mógł pominąć. Są to wypowiedzi, poczynione w gronie towarzyszy-komunistów, nie przeznaczone do druku, nie zaadresowane do szerszego ogółu. Być może, że politycznie nie wnoszą one niczego nowego do znanego nam już obrazu Stalina, podmurawiają jednak dokumentację ocenę, opartą do tej pory tylko na analizie politycznej i na intuicji. Przykładem jest tu antysemityzm Stalina, o którym wiadomo od dawna. Teraz mamy jego własne słowa — wypowiedź do Džilasa na temat Żydów w ruchu komunistycznym.

Dla historii polityki zewnętrznej ZSRR i Stalina ważne są trzy momenty. Jeden, to stosunek do aliantów zachodnich, pełen nienawiści i pogardy. Nieporównana jest scena, w której Stalin charakteryzuje Churchilla i Roosevelta jako złodziejasków, z których pierwszy wyciągnie nieopatrznie wspólnikowi ostatnią kopiejkę z kieszeni, drugi natomiast łakomi się tylko na grubszą gotówkę. Drugi moment, to oświadczenie w rozmowie z Džilasem, że druga wojna światowa jest wojną zupełnie odmienną od wojen poprzednich — kto zajmuje swymi armiami jakieś terytorium, ten zaprowadza tam swój porządek polityczny i społeczny. Moment trzeci, to zapowiedź, że po latach 15—20 od ukończenia wojny Rosja Sowiecka odzyska siły i zabierze się na nowo do dzieła, przy czym Džilas nie ma najmniejszej wątpliwości, że celem wielkomocarstwowych ambicji Rosji jest zapanowanie nad całym światem.

Wszystkie te trzy momenty łączą się z sobą w jedną całość, która wskazuje, że Stalin w czasie drugiej wojny światowej — jeden jedyny spośród ówczesnych mężów stanu — miał wyraźną koncepcję. Wiedział, czego broni i do czego dąży. Džilas stawia go pod tym względem najwyższemu — wyżej niż Churchilla i Roosevelta, którzy nie mieli ani właściwej analizy politycznej, ani intuicji, jeśli chodzi o zamierzenia Stalina. Oslawiony realizm Stalina, na który Churchill i Roosevelt mieli zwyczaj powoływać się, sprawował się do chytrłości i sprytu, a w szczególności do

troski, by nie spłoszyć Zachodu, nie ujawniać przedwcześnie istoty swych poczynań. Tym np. podyktowane są jego wymówki, że partyzanci jugosłowiańscy nałożyli czerwone gwiazdy na czapki — „na co wam czerwone gwiazdy?“, zapytuje Stalin. Wycofanie się z awantury w Grecji, likwidacja powstania komunistycznego, nie było wcale podyktowane zamiarem dotrzymania układów z aliantami zachodnimi, lecz oceną sytuacji: nie mamy floty na Morzu Śródziemnym, mówi Stalin do Džilasa, położenie jest dla powstańców beznadziejne, trzeba więc powstanie skończyć — im szybciej, tym lepiej. Taki i tylko taki był realizm Stalina: obliczał skrupulatnie swe własne siły i wyceniał słabość przeciwnika, ale ze swych celów ostatecznych nie rezygnował ani na chwilę.

Dla historii ruchu komunistycznego ważne są w książce Džilasa trzy inne momenty. Pierwszy, to zupełny cynizm ideologiczny Stalina. Ilustracją tego cynizmu jest stalinowska interpretacja łączenia się państw (mowa była o sfederowaniu Albanii z Jugosławią). Rozumie je jako aneksję i ilustruje gestem polykania: „Połączenie, polknięcie — wszystko jedno!“ Drugi moment, to sceptyczny, a nawet negatywny stosunek do międzynarodowej organizacji komunistycznej. Jego zdaniem, przeżyła się ona jeszcze przed wojną, a już w czasie wojny każda partia komunistyczna winna mówić językiem interesów i potrzeb ogólnonarodowych (co wcale nie jest jednoznaczne z rezygnacją z rozszerzeń do politycznego monopolu). Mo-

ment trzeci, to „przodująca rola“ Związku Sowieckiego i wodzowska rola Stalina. W krótkiej drodze wydaje on podległym partiom komunistycznym Jugosławii, Bułgarii a niewątpliwie i innym rozkazy i nie znosi sprzeciwu.

Gdy Tito i Dimitrow osmielili się bez aprobaty Stalina ustalić własne plany urzędzenia Bałkanów, Stalin kontruje je rozkazem natychmiastowego utworzenia federacji jugosłowiańsko-bułgarskiej, a gdy Dimitrow w tej samej rozmowie prosi o pomoc gospodarza ze strony ZSRR, Stalin brutalnie zamyka sprawę: „Pomówimy o tym ze wspólnym rządem bułgarsko-jugosłowiańskim“. (Inna rzecz, że sam Stalin rychło porzucił plan tej federacji, a zresztą wybuchł konflikt z Jugosławią, który całą sprawę zdezaktualizował, jako że Dimitrow opowiedział się po stronie Stalina). Wszystko to podbudowane jest u Stalina straszliwą ignorancją, np. w dramatycznej rozmowie z Bułgarami i Jugosłowianami okazuje się, że Stalin nie wie, iż w skład Beneluxu wchodzi prócz Belgii i Luksemburga również Holandia, przeczy temu i zmusza do milczenia wszystkich, którzy osmielają się wiedzieć lepiej niż on. Nie wszystkich zresztą trzeba zmuszać — Stalin opowiada o delegacji polskiej (nazwisk nie przytacza), która uważała każde słowo Stalina za wyrocznie i zmieniała swe własne zdanie z cielecą beźmyślnością w zależności od słów Stalina. (Sam Stalin zresztą nasmiewa się z tej beźmyślności „Polaków“, tj. polskich komunistów).

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

### Współzależność ludzi wolnych

**O**GŁOSZENIE przez prezydenta de Gaulle'a niepodległości Algierii, deklaracja prezydenta Kennedy o współzależności Ameryki i Europy, uroczyste przyjęcie kanclerza Adenauera we Francji i wreszcie wybuch potężnej amerykańskiej bomby wodorowej na wysokości przeszło 200 mil nad Pacyfikiem — oto wydarzenia, które zbiegły się w ubiegłym tygodniu, prawdopodobnie przypadkowo, choć napewno nie były one przypadkowymi.

Prezydent Kennedy w dniu święta Niepodległości Stanów Zjednoczonych udał się do Filadelfii, gdzie w sali, w której narodziła się deklaracja o amerykańskiej niepodległości oraz amerykańska konstytucja, wygłosił doniosłe przemówienie o konieczności myślenia obecnie kategoriami współzależności wszystkich wolnych narodów, a zwłaszcza Ameryki i Europy. Poza czczonym, zwłaszcza w Polsce, Woodrow Wilsonem, który w przededniu pierwszej wojny światowej w dniu 4 lipca 1914 roku przybył do Filadelfii, podobno żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie

PODZIĘKOWANIE

Gen. W. Anders dziękuje serdecznie wszystkim Stowarzyszeniom, Organizacjom, Przyjaciółom i Kolegom, którzy przestali mu życzenia imieninowe.

prezował w tym dniu z tego miejsca historycznego i wciąż otoczonego.

Prezydent Kennedy, podobnie zresztą jak gen. de Gaulle, ma wybitne wyczucie historii i umie posługiwać się ideami, rządzącymi światem. Idea niezależności, za którą tyłu ludzi ginęło i ginie, przekładając, jak mówił Kennedy, ulomności rządu, ale własnego, nad rzekomymi doskonałościami rządów obcych, jest już dziś w epoce atomowej nie wystarczająca. Należy niezależność uzupełnić współzależnością.

Prezydent zaznaczył, że od Berlina po Wietnam po obu stronach żelaznej kurtyny ludzie pragną niepodległości. Z chwilą, gdy imperia kolonialna na zachodzie rozpadła się na liczne niezależne państwa należy zrobić nowy wysiłek, podobny do tego, jaki towarzyszył narodzinom amerykańskiej konstytucji.

Narody zachodniej Europy łączą się już we wspólność. Stany Zjednoczone spoglądają na to olbrzymie przedsięwzięcie z „nadzieją i podziwem“. Perspektywa wielkości zjednoczonej Europy, której, jak Amerykanie mają nadzieję, przewodzić będzie również Wielka Brytania, raduje od dawna rząd amerykański. „Nie patrzymy na silną zjednoczoną Europę jak na rywala, lecz ja! na partnera“. Europa zjednoczona będzie mogła odgrywać większą rolę we wspólnych pla-

W TYM NUMERZE

DODATEK

B.D.C.

*Leppim  
piorem*

### PO WYBORACH

Okolo czternaście tysięcy głosów padło w wyborach na Ogólny Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii. Oznacza to, że wzięło udział w głosowaniu blisko 20 procent uprawnionych, czyli co piąta Polka lub Polak poszli do urny wyborczej.

Taki odsetek głosujących w normal-

nych warunkach powszechnych wyborów parlamentarnych musiał być uznany za zły. Jest to lepiej, niż 100 procent głosujących przymusowo na jedynych kandydatów pod reżimami komunistycznymi, ale gorzej od przeciętnych 60 do 80 procent w cywilizowanych krajach zachodnich.

W emigracyjnych warunkach jednak i tych, konkretnych, w jakich Zjednoczenie Narodowe rozpisalo wybory, kryterium oceny musi być inne i wnioski należy wysnuć odmienne. Nie rozporządzaliśmy zwykłym aparatem państwowym do organizacji wyborów, ani środkami na normalną kampanię agitacyjną. Nie zdołaliśmy osiągnąć powszechnego uznania rozpisanych wyborów, nawet wśród wszystkich ugrupowań niepodległościowych, tak że była nawet z tej strony częściowa kontrakcja. Wybory wreszcie na emigracji mają mało precedensów, są czymś wyjątkowym, łatwo przeciwnym argumentować, łatwo je ośmieszać. Te wszystkie czynniki z natury rzeczy działały przeciw uczestnictwu w akcie wyborczym.

Co najważniejsze jednak, wybory apelowały jedynie do czystego patriotyzmu i głębszego zrozumienia sprawy polskiej w dzisiejszej sytuacji kraju i świata. Nikt, ani spośród organizatorów, ani głosujących, nie miał z nich żadnego interesu czy korzyści materialnej. Nie walczył o podwyżkę plac czy lepsze ceny swoich towarów, o posadę lub awans, ani nawet o władzę albo zaszczyty, bo tego wszystkiego dzisiaj polska polityka niepodległościowa nie daje. Organizatorzy, głosujący czy kandydaci dawali coś z siebie, przynajmniej czas wolny i wysiłek, a nie brali dla siebie, czyli jest zrozumiałe, że mniej ich było, niż bywa przy wyścigu do jakichś korzyści.

Wybory były osiągnięciem ofiarnej i czynnej mniejszości liczebnej, na którą tym większe spadają obowiązki. Bo jest to dopiero pierwszy krok na drodze wzmacniania organizacyjnych podstaw niepodległościowej polityki, której cele i formy określone zostały w Akcie Zjednoczenia. Jesienny Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii powinien stać się dalszym posunięciem sprawy naprzód.

Im większe będą nasze osiągnięcia, im jśniej i mocniej potrafimy formułować nasze cele, im szersze osiągniemy zjednoczenie prawdziwie polskich sił politycznych, tym łatwiej będzie nam w przyszłości przelamywać bierność i niewiarę emigracyjnego ogółu polskiego.

PRAWNICY W POLSCE  
O „PŁATNEJ PROTEKCJI“

Warszawski dwutygodnik „Prawo i Życie“ kontuuuje rozpoczętą w marcu br. dyskusję na temat „płatnej protekcji i sprzedajności urzędników“ reżymowych. W artykule „Grzywna co najmniej równa łapówce“, który ukazał się w nr. 10 tego organu reżymowych prawników pisze:

„Poruszone zagadnienia tym bardziej zasługują na uwagę, gdyż w ostatnich kilku latach — obok przestępstw gospodarczych, drogowych, przeciwko życiu i zdrowiu — coraz częściej się mówi i pisze o przestępstwach łapowniczych w Polsce i płatnego pośrednictwa... Z danych statystycznych — pisze dalej „Prawo i Życie“ — wynika również, że represja karna, stosowana przez nasze sądy za tego rodzaju przestępstwa, jest wciąż niezadowalająca. Z jednej bowiem strony mamy dość pokazywać wskaźnik wpływu spraw karnych o sprzedajności urzędników i płatną protekcję, z drugiej zaś represję karną, która nie odpowiada wadze szkodliwości tego rodzaju czynów przestępczych.“

Cytowany dwutygodnik „ryzykuje twierdzenie“, że sądy nie dość ostro zwalczają tę plagę przestępstw i dlatego liczba ich wzrasta. (FEC)

MILOWAN DŽILAS



Wyrasta z tego wszystkiego obraz Stalina jako największego zbrodniarza w dziejach ludzkości — Džilas widzi w nim Kaligulę, Borgię i Iwana Groźnego w jednej osobie. I obraz systemu, którego produktem był Stalin, a który był potem produktem Stalina. Džilas przeczy, by system komunistyczny dał się w Rosji urzeczywistnić bez użycia metod, które Stalin zastosował. Inaczej mówiąc — zdaniem Džilasa — głównym winowajcą okropności, przez które Rosja przeszła, nie był Stalin, lecz komunizm. Destalinizacja służy rehabilitacji następców Stalina i jest odczepnem, rzuconym przez nich społeczeństwu rosyjskiemu bez dokonania zasadniczej zmiany w ustroju sowieckim, a nawet bez

(Dokończenie na str. 4)

nach strategicznych. Złączy się ona ze Stanami Zjednoczonymi w dążeniu do obniżenia taryf celnych, rozwiązywania zagadnień waluty, oraz innych spraw gospodarczych, dyplomatycznych i politycznych.

Powstanie w ten sposób, mówi na innym miejscu Kennedy, blok od 500 do 6000 milionów wolnych ludzi. Stanie się on „osrodkiem dla tych, którzy już są wolni i dla tych, którzy przysięgają sobie, że pewnego dnia odzyskają wolność“.

**D**EKLARACJA o współzależności, jak wszystkie tego rodzaju uroczyste oświadczenia, ma charakter ogólnikowy. Lecz idea historyczna, która będzie zapładniała umysły, została rzucona. Na tym polega doniosłość aktu prezydenta Kennedy'ego.

Rosja Sowiecka po drugiej wojnie światowej, jak zresztą i po pierwszej, oczekiwała rozkładu państw, tak zwanych kapitalistycznych, względnie, jak to prorokował Stalin, wojen między tymi państwami. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Europa zachodnia przewyciężyła swą słabość i dziś Stany Zjednoczone proponują jej pewnego rodzaju spółkę polityczną, wojskową i gospodarczą. Zamiast rozbić zachód przeciwstawi Rosji blok 600 milionów ludzi, reprezentujących ponadto potencjał gospodar-

(Dokończenie na str. 8)



# ŻARLIWY METROPOLITA I GORĄCY PATRIOTA

WIKTOR JUNOSZA

## O przyszłość emigracji niepodległościowej

NAGLY zgon metropolity lwowskiego i administratora apostołskiego archidiecezji krakowskiej, ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, odbił się nie tylko w Polsce silnym echem, ale wzbudził głęboki żal również w kołach watykańskich. Dowodem tego był obszerny artykuł poświęcony jego postaci i umieszczony na pierwszej stronie „l'Osservatore Romano“, mimo że kilka dni przedtem pismo to wspominało już o zmarłym arcybiskupie, o czym pisaliśmy w „Orle Białym“. Nie często organ watykański wspomina zmarłych biskupów tak uroczysto. Jedynie o kardynałach ukazują się na łamach organu watykańskiego wspomnienia tak szczegółowe i docieklive.

Autorem artykułu o zmarłym metropolicie jest prof. F. Alessandrini, który ze zrozumieniem i ze szczególną życzliwością omawia w „l'Osservatore Romano“ sprawy polskie i w ogóle sprawy narodów środkowo-europejskich, które wydano w jarzmo komunistyczne.

Postać Arcybiskupa służy też za przykład martyrologii, a zarazem odwagi Polaków, zwłaszcza z ziem wschodnich, kleru polskiego pod okupacją niemiecką i sowiecką, przesładowań, jakim naród polski ulegał, wygnania z siedzib ojczystych milionów ludzi, wśród których znajdował się również metropolita lwowski.

Autor zaznacza, że ucisk, który od tyłu lat powinien był zniewolić ludy i narody, oraz zmusić ich do poddania się doktrynie komunistycznej ciąży nadal nad milionami naszych braci. Jest to smutny obraz, udowodniany cichymi faktami. Sądząc z braku reakcji, można by powiedzieć, że świat do tego się przyzwyczaił. Sytuację tę uważa się za zwykłą, a nie zaś za wyjątkową. O biskupach, księżach i prostych katolikach, którym odmawia się od wielu lat najbardziej zasadniczych wolności, wiemy bardzo mało — pisze Alessandrini. Nazwiska przywódców duchowych ulatują z pamięci i ulegają zapomnieniu, chyba że w tendencyjnych i służących propagandzie notatkach kronikarskich wspomina się o nich, jako o niegodnych szacunku. Akty oskarżenia i stronnice procesy usiłują zniszczyć ich moralnie. W końcu zamykają ich w więzieniach, lub skazują na alekie zesłanie.

Ksiądz Baziak był takim właśnie biskupem. Również on padł ofiarą kalumii, również on był skazany na zsyłkę i internowany. Otrzymał jednak częściowo wolność, gdy wiara ludu polskiego, silniejsza od przesładowań, wydała się nawet komunistom jedyną siłą, z którą należało się liczyć.

F. Alessandrini wskazuje następnie na kolejne etapy dramatu arcybiskupa Baziaka i jego lwowskiej metropolii. Rozpoczyna je inwazją hitle-

rowska we wrześniu 1939 roku. Potem następuje zajęcie Lwowa przez okupanta sowieckiego i pierwsze przesładowanie. W roku 1941 wracają do Lwowa Niemcy i wznawiają ciężki system gnębienia, nawet sumień ludzkich. W roku 1944 zajmują znowu Lwów wojska sowieckie i dla miasta tego zaczyna się nowa *via crucis*. Katolicy obrządku łacińskiego, w większości pochodzenia polskiego, są zmuszani do porzucenia swych siedzib i nieruchomości i wywiezieni na terytoryj Polski Ludowej. Katolicy obrządku wschodniego, pochodzenia przeważnie ruskiego, są zmuszani do schizmy. Metropolita ich, ksiądz Slipij, zapłacił za swą wierność biskupią i za wierność większej części swych księży karą więzienną. Dotychczas więziony jest w okolicach Moskwy.

Biskup Baziak objął w 1944 roku faktyczny zarząd archidiecezji lwowskiej po śmierci arcybiskupa Twardowskiego, lecz na to tylko, by pójść wraz ze swymi wiernymi na przymusowe wygnanie. W tych ciężkich chwilach starał się on zrobić wszystko, co mógł, by przyjąć im z troskliwą pomocą. Dbał o nią, o ile pozwalały na to trudne warunki, w których przyszło żyć katolikom w Polsce Ludowej. Starał się zwłaszcza o to, by 800 księży, których wyrzucono wraz z wiernymi z ich parafii, pozostawało w pobliżu swych parafian pozabawionych wszystkiego prócz wiary w Boga.

Potem skierował się do tego skrawka archidiecezji lwowskiej z 50.000 katolików, którego akt rozbiorecy pozostawił przy Polsce „ludowej“. Jego praca cicha, lecz uparta wzbudziła wówczas powszechny „podziw wśród tych, którzy potrafili ocenić jej wartość“ — stwierdza z naciskiem Alessandrini. W 1949 roku kardynał Sapięha zwrócił się do Stolicy Apostolskiej o powierzenie arcybiskupowi Baziakowi zadań koadiutora w archidiecezji krakowskiej. Po śmierci kardynała został jej administratorem apostolskim.

Warunki życia Kościoła w republice „ludowej“ szybko się wówczas pogarszały. By uderzyć w katolicyzm każda broń była dobra. Na początku 1952 roku czterech księży z krakowskiej kurii arcybiskupiej, oraz trzech świeckich oskarżono o szpiegostwo i przemyt walut. Postawiono ich przed sądem i oczywiście skazano na poważne kary więzienne. Posługiwano się kłamstwem sądowym, do którego uciekają się komuniści, gdy mają zamiar wznowić terror. Od siedmiu oskarżonych wymuszono tak zwane „zeznanie“, że „zdradzili“ swą ojczyznę, dlatego że byli wierni biskupom, którzy z kolei byli wierni Watykanowi. Winowajcami byli również dwaj zmarli kardynałowie Hlond i Sapięha.

W następstwie tego arcybiskup Baziak wraz z nieżyjącym już bis-

kupem Rospondem, pomocnikiem metropolity, zostali aresztowani i wywiezieni poza granice archidiecezji. Bez procesu zamknięto ich w domu odosobnienia, strzeżonym przez policję. Kilka miesięcy potem postąpiono podobnie z kardynałem Wyszyńskim.

Do czego zmierzał rząd komunistyczny? Wyjaśniło się bardzo szybko. Krótko potem wyszedł dekret o „inwestyturze stanowisk kościelnych“, który faktycznie, wbrew nawet komunistycznej konstytucji i wbrew zobowiązaniom tego samego rządu z końca kwietnia 1950 roku niszczył jurysdykcję wewnętrzną Kościoła i legalizował mieszanie się administracji komunistycznej w sprawy kościelne. Kardynała Wyszyńskiego aresztowano i internowano za to, że w imieniu wszystkich biskupów przeciwstawił zdecydowane *non possumus* gwałtowi nie do zniesienia. Arcybiskupa Baziaka uwolniono jesienią 1956 roku. Oskarżenia, które wniesiono przeciwko niemu i przeciw innym księżom, uznano za niezasadne. Rehabilitowano ich następnie w wyniku procesów rewizyjnych.

W uznaniu wyjątkowych zasług arcybiskupa Baziaka papież Pius XII, jak zaznacza „l'Osservatore Romano“, przesłał mu w 1958 roku list odręczny z życzeniami z okazji 25 rocznicy otrzymania sakry biskupiej. Mianował go jednocześnie asystentem tronu papieskiego. W końcu tegoż roku arcybiskup Baziak mógł przybyć do Rzymu i złożyć wizytę *ad limina*. Papież Jan XXIII przyjął go z całą „wylewnością serca ojcowiskiego w uznaniu jego żarliwości biskupiej, silniejszej od wszelkich przeciwności“.

Arcybiskupowi Baziakowi wydawało się wówczas, że audiencja u papieża ukoronowała jego życie i jego dzieła. Po powrocie z Rzymu rozchorował się poważnie i wydawało się, że zbliża się kres jego życia. Tymczasem wyzdrowiał i wrócił do zwykłych zajęć. Należał do jednej z komisji, przygotowujących Sobór Powszechny, mianowicie do Komisji duchowieństwa i ludu chrześcijańskiego.

Znamienny ten artykuł kończy się stwierdzeniem, że arcybiskup Baziak pozostawia po sobie wspomnienie, jako ten, który „dał przykład, pobudzający do szlachetnego zapału i apostolskiej energii“.

(P.)

## ZGON WIELBICIELA CHOPINA

W Lozannie zmarł Alfred Cortot, słynny pianista i dyrygent orkiestry. Urodził się w Nyon, szwajcarskim miasteczku nad Lemaniem, położonym między Lozanną i Genewą. Rodzice jego tworzyli parę francusko-szwajcarską. Miał w chwili śmierci 85 lat. Był niemal zupełnie oślepy. Lecz niegdyś przy końcu ubiegłego stulecia i na początku obecnego oświecał cały świat jako pianista i odtwórca muzyki Chopina, Schumana, Ravela i Debussy'ego, nie mówiąc o Mozarcie i Beethovenie.

Podobno w ciągu swego życia dał 6.000 koncertów we wszystkich częściach kuli ziemskiej. Tysiące uczniów zawdzięcza rozwój swego talentu na ukonstytuowaniu w konserwatorium muzycznym w Paryżu.

Interpretator wielu słynnych muzyków, uwielbiał jednak ponad wszystkich Fryderyka Chopina i miłość tę przenosił na całą Polskę, której był wiernym przyjacielem. Uczeń Alfreda Cortota — Luigi Fait — poświęcił temu szczególnemu stosunkowi artykuł na łamach „l'Osservatore Romano“.

ZMARLY przed rokiem znakomity psycholog szwajcarski C. G. Jung dowodził, że w postępowaniu naszym tylko w nieznacznym stopniu kierujemy się rozumowaniem świadomym, gdyż większość decyzji zapada w podświadomości — spadku po niezliczonych przeszłych pokoleniach.

Pogląd ten jest obecnie powszechnie przyjęty przez naukę. Toteż nie mogę ukryć zdziwienia, gdy stwierdzam, że Polacy, a ściślej biorąc polska emigracja polityczna wydaje się stanowić w tym względzie wyjątek. Bo przecie jej podświadomość zbiorowa nowinna by ją skłaniać do najwyższej troski o zachowanie polskości; powinna by się ona w większej części wypadków kierować narodowym (a więc w pierwszym rzędzie kulturalnym) instyngtem samozachowawczym.

Indywidualny instyngt samozachowawczy każdy z nas jakoś posiada, lecz emigracja polityczna jako ciało zbiorowe wydaje się go coraz bardziej zatracać. Oczywiście, tylko nieliczni wśród nas powtarzają wołanie oportunistów: „Boże, wybaw mnie od polskości“, lecz gdy widzimy grupę 70-letnich starców śpiewających z animuszem: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“ — trudno to nazwać inaczej jak tragifarsą; oznacza to bowiem, innymi słowy: *après nous le déluge* — po nas choć potop!

Właśnie to, co będzie po nas, winno być najpierwszą i najważniejszą dla nas sprawą; winna nią być troska o wychowanie następców, o młode kadry działaczy niepodległościowych.

Nie szukajmy przyczyn, nie wynajdujmy „winnych“, nie kombinujmy tłumaczeń, pomyślmy raczej, jak złu zaradzić.

Że młodych Polaków, w całej pełni przygotowanych do przejęcia na swe barki zadania walki o Polskę Niepodległą prawie nie ma — to fakt oczywisty. Nie ludźmy się: młodzi Amerykanie, Anglicy, Francuzi „polskiego pochodzenia“ choćby nawet dość poprawnie władali językiem „ojców“ (czyli już nie „swoim“) nie będą dla Polski — „podobno“ kraju o pięknej przeszłości historycznej — mieli nic ponad „szczerą sympatię“. I to w najlepszym wypadku.

Nie orientuję się, co może wiedzieć o historii Polski i jej kulturze absolwent szkół amerykańskich czy angielskich, wiem natomiast, czego się o nich dowie ze swych podręczników uczeń francuskiego liceum. Dowie się że przed 1945 połowa gruntów rolnych należała do stanowiących 7 procent ogółu posiadaczy, podczas gdy 93 procent — małorolni chłopci, aż do reform, przeprowadzonych przez komunistów, gnieździł się w raz z liczną rodziną w nędznych słomianych chatkach i przymierali głodem, że, w dodatku, większość tych wielkich posiadaczy kolaborowała podczas okupacji z hitlerowcami; że jeśli Polska „dwudziestolecia“ miała jaki taki przemyśl, to zawdzięczała go... carom rosyjskim.

Nic nie wymyślę; mogę na życzenie podać autorów podręczników i wskazać strony, na których te elukubracje można wyczytać. Podobnie (podaję to nie wchodząc w ocenę samego faktu) ani w podręcznikach historii, ani w encyklopedii Larousse'a nawet słowa nie ma o tym, że naczelnym wodzem komuny paryskiej był Polak, Jarosław Dąbrowski. Już nie mówię o całkowitym przemilczeniu polskiego wkładu do kultury ogólnoludzkiej: ani słowa o Fryczu Modrzewskim i jego wydanej w Bazylei „De Republica emendanda“, o Łukasiewiczu, wynalazcy lampy naftowej; Skłodowska występuje w formułce „małżeństwo Piotr i Maria Curie“, narodowość Kopernika nie podana.

Z liceum francuskiego wyjdzie raczej sympatyk Polski „ludowej“, niż emigracji politycznej; obawiam się, że w szeregu innych krajów rzecz ma się podobnie.

Staje przed nami problem: co uczynić, aby dorastająca młodzież polska, aby synowie i córki emigrantów politycznych — poszli w ślady rodziców?

Wpływ domowego ogniska? Przepraszam, ale ja sprawę traktuję serio; zaś „paplaniny starsuszków, przywiązanych do starych zwyczajów i obyczajów a nie rozumiejących ducha czasu“ — młodzi w miarę swojej swej większości na serio nie biorą, zwłaszcza gdy rodzice, co często bywa, są w stanie operować tylko argumentami uczuciowymi, a nie cyframi i faktami.

Na poziomie szkoły powszechnej? Na kursach „czwartkowych“ i „nie-dzielnich“?

Tam nauczy się dziecko paciorka, o tyle o ile — języka, nauczy śpiewać „Witaj, majowa jutrzeńko!“ lecz nie wyjaśni mu ani na czym polegała idea Jagiellońska, ani czym jest — dokładnie — „materializm dialektyczny“, ani w jakich dziedzinach polityki międzynarodowej interes Polski zbiega się z interesem Stanów Zjednoczonych czy Niemiec Zachodnich! A przecie przyszły działacz musi mieć to wszystko „w małym palcu“!

No i nie ludźmy się: nauka w godzinach, kiedy inne dzieci bawią się w ogródku, tylko dla nielicznych nie będzie przykrym przymusem.

Po maturze, albo nawet po studiach uniwersyteckich?

Ależ ten młody Anglik, Francuz czy Amerykanin na te obce sobie sprawy nie będzie tracił drogiego czasu!

Stąd jedyny logiczny i praktyczny wniosek: konieczne jest posiadanie centralnej polskiej szkoły średniej typu humanistycznego, w programie której znajdą się, obok wszystkich dziedzin wykładanych w szkołach Zachodu, potrzebnych do studiów wyż-

(P.)

(Dokończenie obok)

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI**

Tel. FRE 3175  
**TAZAB**  
22, Roland Gdns.  
London S.W.7

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

We Francji

**ELKA S.A.R.L.**20 rue Legendre  
Paris 17

W NOWYM YORKU: TAZAB, 36 Third Avenue N.Y.3. N.Y.



**STANOWISKO** naczelnika Wydziału Prasowego czy to w Prezydium Rady Ministrów czy też w poszczególnych ministerstwach a zwłaszcza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jest w dzisiejszych czasach niezwykle ważne. Jest to soczewka, przez którą z jednej strony promieniują na kraj i na zagranicę informacje z kół rządowych, a która z drugiej strony zbiera i doprowadza do rządu informacje o stanie opinii krajowej i zagranicznej w sprawie jego polityki a także polityki innych krajów. Rząd, który takich informacji nie posiada, traci poczucie rzeczywistości i popełniać będzie niebezpieczne pomyłki.

Jest rzeczą jasną, że tego rodzaju „punkty węzłowe”, w których spotykają się, skupiają i znowu rozchodzą prądy informacyjne bardzo rozmaite i wszechstronne, wymagają obsady nieprzeciętnej i starannej. Zajmujący je ludzie muszą posiadać inteligencję żywą i sprawną, umiejętność szybkiego rozróżniania rzeczy ważnych od nieważnych, szeroki zasięg wykształcenia oraz zdolność wyczuwania nie tylko już ujawnionych, ale również dopiero narastających reakcji w kraju i na arenie międzynarodowej. Do tego dochodzi potrzeba umiejętności znalezienia się między ludźmi i nawiązywania z nimi styczności.

Poszczególne rządy doceniają na ogół wagę tego zagadnienia. Toteż już od dłuższego czasu utworzono w rozmaitych krajach osobne ministerstwa dla spraw prasy i informacji względnie osobom, które się z ramienia rządu tymi zagadnieniami zajmują, przyznano stopień sekretarza stanu, jak n.p. w Niemieckiej Republice Związkowej.

I jest też rzeczą jasną, że na takie stanowiska nie nadają się ludzie skądinąd nawet bardzo zdolni i pożyteczni, ale posiadający umysłowość raczej urzędniczą. Żaden „biurokrata” nie wypełni zadań, należących do tego zakresu. Trzeba tu czegoś wie-

ANDRZEJ TOMICKI

## Zmiany w niemieckim Urzędzie Prasowym

cej: Wrażliwości i wyobraźni, spokrewnionej albo nawet identycznej z wyobraźnią poety i artysty, połączonej z głęboką znajomością człowieka i jego psychologii. Nie może to jednak być wyobraźnia rozwichrzona i nieuporządkowana. Poczucie odpowiedzialności i dyscypliny umysłowej stwarzać musi dla niej ramy, w których dopiero może ona wydać pożądane owoce.

Jak widzimy, wymagania są wielkie i nie byle kto może im sprostać. Człowiekiem, który im rzeczywiście sprostał, jest obejmujący obecnie stanowisko pełnomocnika rządu Niemieckiej Republiki Związkowej w Berlinie Felix von Eckardt. Warto przy tej sposobności przyjrzeć się jego rodowodowi i rodzinnej tradycji. Są to bowiem czynniki, których wpływ nie można lekceważyć. Rozstrzygają one często o kierunku działalności tego, który wyrastał w urobionej przez taką tradycję atmosferze.

Otóż rodowód i tradycje rodzinne Felix'a von Eckardt są bardzo charakterystyczne. Wywodzi się on z Niemców bałtyckich. Już jego pradziad zajmował się dziennikarstwem. Jego dziad, Juliusz Eckardt, kształcił się na razie w Dorpacie (po estońsku Tartu), w owym czasie głównym ośrodku bałtyckiej niemieczyny, a potem na uniwersytetach w Niemczech. Osiadłszy w roku 1865 na stałe w Niemczech stał się gorącym wielbicielem Prus i pruskiego ducha. W roku 1866 założył razem ze znanym pisarzem niemieckim Gustawem Freytagiem (który między innymi napisał znaną komedię „Dziennikarze” — „Die Journalisten”) pismo „Der Grenzboten”. Będąc zwolennikiem polityki Bismarcka różnił się z nim o tyle, że nienawidził Rosji. Jako naczelny redaktor wychodzącego w Ham-

burgu dziennika „Hamburger Korrespondent” naraził się nawet tamtejszemu rosyjskiemu generalnemu konsulowi. Nie przeszkodziło to jednak powołaniu go do „Auswärtiges Amt” (Ministerstwa Spraw Zagranicznych) w Berlinie, gdzie objął stanowisko w Biurze Prasowym. Opuścił je w okresie kanclerstwa księcia Hohenałohe, otrzymując w nagrodę zasług dziedziczne szlachectwo i przeszedł do służby konsularnej jako konsul generalny w Marsylii i Tunisie, a wreszcie w Zurychu. Umarł w roku 1908. W roku 1910 ukazały się jego ciekawe „Pamiętniki” („Erinnerungen”). W pismach swoich Juliusz von Eckardt rozwija pomysł gospodarczego zjednoczenia Europy (Unia celna), której jądrem miały być trójprzymierze Niemiec, Austrii i Włoch. A ponieważ w trójprzymierzu czynnikami najpotężniejszymi i decydującym były Niemcy, więc w dalszych skutkach chodziło o zjednoczenie Europy Środkowej pod kierownictwem Niemiec. O tyle Juliusz von Eckardt szedł nawet dalej, niż Bismarck, którego polityka — naówczas przynajmniej — ograniczała się do zjednoczenia Niemiec. Czy — nawiasem powiedziawszy — ostatni „wyskok” Adenauera o stworzeniu „Europy Trzech”, to znaczy porozumienia Niemiec, Francji i Włoch, nie był w swoim rodzaju powtórzeniem tego pomysłu, z tym, że w zmienionych dzisiaj warunkach słabą i małą Austrię zastąpiłaby Francja???

Syn Juliusza von Eckardt wstąpił w ślady dziennikarskie ojca jako redaktor znanego pisma „Münchener Neueste Nachrichten” oraz redaktor „Hamburger Fremdenblatt”. Podkreślić należy, że łączyły go bliskie i przyjazne stosunki z kanclerzem księciem Bülowem, znanym między innymi za swojej antypolskiej polityki.

Felix von Eckardt jest więc wnukiem i synem dwóch bardzo wybitnych dziennikarzy i publicystów, którzy, jak to na Zachodzie często się zdarza, jednocześnie albo się blisko stykali albo nawet wprost wkraczali w dziedzinę czynnej dyplomacji. Miał Felix von Eckardt przed oczyma wytyczoną przez ojca i dziada drogę której dotychczas pozostał wierny.

Karierę dziennikarską rozpoczął w piśmie ojca „Hamburger Fremdenblatt”, poczem udawał się z ramienia koncertu prasowego Ullsteina na rozmaite konferencje międzynarodowe, między innymi też w Genewie. W latach 1929-1932 był niemieckim attaché prasowym w Brukseli. Później pisał scenariusze filmowe. Po roku 1946 założył dziennik „Der Weserkurier” i prowadził go jako redaktor naczelny. W lutym 1952 powołał go kanclerz Adenauer, dobrze zapewniony poinformowany o jego tradycjach rodzinnych a także osobistych kwalifikacjach, na stanowisko kierownika Urzędu Prasowego i Informacyjnego rządu w Bonn.

Na tym stanowisku wywierał Felix von Eckardt bardzo poważny wpływ na politykę rządową zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej. Kanclerz Adenauer bardzo cenil jego zdanie i podobno nie miał dla niego tajemnic. Zabierał go też na wszystkie ważne konferencje międzynarodowe wiedząc, że nikt tak dobrze nie przedstawi prasie światowej polityki rządu w Bonn, jak on, i że od nikogo się tak dokładnie nie dowie, jakie są nastroje opinii międzynarodowej wobec obchodzących Niemcy zagadnień i spraw. Toteż, gdy w roku 1955 Felix von Eckardt objął stanowisko ambasadora niemieckiego przy Organizacji Zjednoczonych Narodów w New Yorku, Adenauer

ściągł go na rozmaite konferencje międzynarodowe i po roku powołał spowrotem na stanowisko kierownika Urzędu Prasowego i Informacyjnego rządu w Bonn. Przebył więc Felix von Eckardt, mianowany sekretarzem stanu, z roczną tylko przerwą na tym stanowisku dziesięć lat. Na ostatniej pożegnalnej konferencji prasowej w Bonn w dniu 27 czerwca przewodniczący tej stałej instytucji zwanej „Bundespressekonzferenz in Bonn”, R. Appel dwukrotnie podkreślił w swojej przemowie, że Felix von Eckardt był zawsze gorącym zwolennikiem wolności prasy, przypisując między innymi temu jego nastawieniu dobre stosunki, które go zawsze z prasą łączyły. A przypomniał też przy tej sposobności słowa jego dziada, Juliusza von Eckardt, który napisał, że referent prasowy, który nie jest jednocześnie doradcą swego ministra, gra bardzo smutną rolę! To przypomnienie wskazuje wyraźnie na wpływ, jaki zdaniem dobrze poinformowanych dziennikarzy Felix von Eckardt wywierał na Adenauera.

Czy wpływ ten szedł w kierunku tradycji dziada, zwolennika hegemonii Niemiec w Europie i wielbiciela Prus, oraz ojca, przyjaciela kanclerza Bülowa, trudno jest osądzić, zważywszy, że Felix von Eckardt jako rasowy publicysta i jednocześnie dyplomata mówił głośno tylko to, co chciał powiedzieć. Sam jednak fakt wywierania przez niego dużego wpływu na politykę rządu w Bonn nie ulega wątpliwości.

Dlaczego więc odchodzi? Czy się coś w ostatnim czasie w jego stosunku do Adenauera zmieniło? Tak niektórzy powiadają. Ale być może, że wyczuwając po prostu niewątpliwą siłą rzeczy koniec okresu Adenauera, uważa, że lepiej jest na czas przejściowy rozluźnić swoją z tym okresem łączność i poczekać nieco z hoku na rozwój stosunków. A być też może, że zamierza on wejść na inne dalej idące tory swojej kariery. Wskazywałby na to jego żywy udział w akcji wyborczej w ostatnich wyborach w Niemieckiej Republice Związkowej a poza tym powiedzenie na pożegnalnej konferencji prasowej, że w dotychczasowym charakterze już na nią nie powróci!

Następcą Felix'a von Eckardt mianowany został Karol-Günther von Hase, dotychczasowy kierownik III Oddziału w „Auswärtiges Amt”. Jako oficer artylerii odznaczony został na wojnie między innymi „krzyżem rycerskim” („Ritterkreuz”). Trzeba jednak zaznaczyć, że stryj jego, generał Paweł von Hase, brał udział w spisku antyhitlerowskim z dnia 20 lipca 1944 i został z rozkazu Hitlera zamordowany. Karol-Günther von Hase stał na czele Wydziału Prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych za czasów Henryka von Brentano, posiada więc w tym kierunku doświadczenie, które mu się na nowym stanowisku kierownika Urzędu Prasowego Rządu Związkowego bardzo przyda. Liczy dopiero 45 lat. Urodził się na Śląsku, co warto z rozmaitych względów zanotować.

**Reżyser filmowy, z pochodzenia Polak — kupi lub wynajmie dom z dużym ogrodem lub fermą — NIE DALEJ JAK 50 KM OD PARYŻA.**

**Zgłoszenia do „Syreny/O.B.” — 20, Rue Legendre, Paris 17 pod No. 36.**

## KRONIKA WOJSKOWA

**WSPÓLNOTA ATLANTYCKA (NATO).** W porównaniu z 1959 roku suma kredytów na cele obronne wszystkich państw Wspólnoty Atlantycznej była w 1961 roku o przeszło 6 miliardów dolarów większa, wzrosła bowiem z równowartości 61,6 miliardów do równowartości 67,9 miliardów dolarów. Wzrost ten obciążył znowu przede wszystkim Stany Zjednoczone A.P., które już w 1959 przeznaczyły na cele obronne 46,6 miliardów, a w ubiegłym roku 51,1 miliardów dolarów, czyli blisko 77 procent całości kredytów Wspólnoty Atlantycznej. W 1959 roku ich wydatki stanowiły tylko 75 procent całości. Pozostałe państwa zdobyły się na następujące zwiększenie kredytów:

Belgia z 18,8 do 19,7 miliardów franków belgijskich,

Kanada z 1,6 do 1,7 miliarda dolarów kanadyjskich,

Dania z 968 do 1,280 milionów koron duńskich,

Niemcy Z. z 11,1 do 12,8 miliardów marek niemieckich,

Francja 17,9 do 19,8 miliardów nowych franków francuskich,

Grecja z 4,7 do 5,1 miliardów drachm greckich,

Włochy z 667 do 736 miliardów lirów włoskich,

Holandia z 1,5 do 1,9 miliarda guldenów holenderskich,

Norwegia z 1,1 do niemal 1,2 miliarda koron norweskich,

Portugalia z 2,8 do 5 miliardów eskusosów portugalskich,

Turcja z 2,1 do 2,6 miliardów lirów tureckich,

W. Brytania z 1.589 do 1.701 funtów.

**Powszechny obowiązek służby wojskowej** zachowało już tylko 11 państw Wspólnoty Atlantycznej, przy czym istnieje nadal wielka rozpiętość długości aktywnej służby poborowych. We Francji trwa ona nawet w wojsku co najmniej 28 miesięcy, jednak wobec zakończenia wojny algerskiej ulec ma skróceniu do 18 miesięcy. W Stanach Zjed., Holandii, Turcji, Grecji, Portugalii trwa ona w wojsku lądowym 24 miesiące, a w lotnictwie i marynarce wojennej częściowo 36 lub nawet 48 miesięcy. W Niemczech Zachodnich i Włoszech poborowi służą przez 18 miesięcy, w Norwegii i Danii tylko 16 miesięcy a w Belgii zaledwie 12 miesięcy. Wielka Brytania, Kanada i Luksemburg próbują obyć się bez poborowych. Naciski naczelnego dowództwa sił NATO, by wprowadzić wszędzie służbę 24-miesięczną, nie odnoszą skutku.

Konferencja Rady Atlantycznej, która odbyła się w Atenach w pierwszej dekadzie maja, załatwiła lub popchnęła naprzód szereg spraw, nie rozwiązała jednak doniosłego i bardzo skomplikowanego problemu dysponowania bronią atomowymi. Również amerykańsko-francuski spór na temat tworzenia francuskiej „force de frappe” nie został ani w Atenach ani w Paryżu, podczas wizyt Ruska i MacNamary, zażegnany lub choćby tylko załagodzony.

Na morzu Północnym odbyły się w drugiej połowie czerwca dwutygodniowe manewry pod egidą NATO i nazwą „Fairwind Seven”. Wzięły w nich udział okręty amerykańskie, brytyjskie, duńskie, holenderskie, niemieckie i norweskie. W sumie było ich sto. Nieobecność jednostek francuskich musi tym bardziej dziwić, że w maju duża flota francuska przeprowadziła na tym samym morzu wspólne ćwiczenia z niemiecką „Bundesmarine”, którym dowództwo sił atlantyckich nie patronowało. Również wizyta złożona przez francuskie okręty, m. j. lotniskowiec „Clemenceau” i krążownik „Colbert”, po zakończeniu tych ćwiczeń w Hamburgu ma pewien posmak demonstracji.

Podczas konferencji w Atenach amerykański sekretarz obrony, McNamara, ponowił wprawdzie ofertę oddania do dyspozycji NATO pięciu atomowych okrętów podwodnych z raketami „Polaris”, ale równocześnie domagał się wzmocnienia konwencjonalnych sił europejskich sojuszników, wskazując na to, że Stany Zjednoczone wzmocniły w ciągu ostatniego roku swoje siły lądowe o 45 procent. Postulat ten pokrywa się z postulatami naczelnego dowódcy sił atlantyckich, gen. Norstada, który do najpilniejszych zadań zalicza: 1) doprowadzenie sił lądowych centralnego odcinka NATO do 30 w pełni gotowych dywizji, 2) wzmocnienie taktycznego lotnictwa, 3) wprowadzenie lepszych taktycznych broni atomowych, 4) usprawnienie zaopatrzenia.

Kage.

(Dokończenie ze str. 2)

szych, do zapewnienia bytu materialnego — przedmioty ściśle polskie: historia, historia literatury, zagadnienia polityczne i społeczne naszego kraju od 1918 po dziś dzień.

Zarówno ze względu na tak obszerny program jak na cel — przygotowanie świeżych kadr kierowniczych, szkoła taka nieuniknienie musi mieć charakter elitarny. Nie pod względem pochodzenia społecznego, lecz jedynie pod względem wymaganych od kandydatów walorów intelektualnych i moralnych.

Ta elitarność nie tylko nie osłabiłaby atrakcyjności, lecz, wręcz przeciwnie znacznie by ją wzmogła. Taki polski Eton — co za magnes dla ambitnej młodzieży i dla rozkochanych w swych „bezcennych skarbach” rodziców!

Tylko w ten sposób zapewnimy ciągłość kulturalną (która może być uratowana tylko na emigracji!) i wykształcimy nowe zastępy polityków, uczonych, artystów tkwiących korzeniami w polskiej glebie duchowej i żywiących się sokami niespaczonej, autentycznej polskiej kultury.

Powstaje pytanie: skąd wziąć niezbędne środki? — na które jest gotowa odpowiedź (odpowiedź, gotowa wyprzedzić pytanie...): nas na to nie stać!

Lecz jeśli nas na to nie stać, to lepiej od razu zamknąć cały sklepik.

Stać nas. Oczywiście, trzeba wszystko przemysleć, trzeba wiele rzeczy uzgodnić, gdyż z natury rzeczy byłaby to szkoła ogólnie-emigracyjna, a nie obsługująca wyłącznie teren angielski, francuski czy niemiecki, trzeba pomyśleć o szczegółach programu, o składzie profesorskim, i t.d. — ale jeśli raz jeden, wyjątkowo, zechcemy

nie przeszkadzać sobie wzajemnie, lecz sobie wszyscy dopomagać — z całą pewnością „damy radę” i — zapewnimy dalszą egzystencję emigracji niepodległościowej; emigracji czynnej i umiejącej czerpać z arsenału poważnych argumentów.

Świadomie — choć szkoła ta, z takim trudem walcząca o dalszy swój byt — jest mi bardzo droga, — nie wspominałem dotąd ani razu o Les Ageux. Oczywiście, liceum w Les Ageux stanowiłoby dla szkoły mych marzeń doskonałą bazę wyjściową, gdyż wystarczyła by pewna reorganizacja, zamiast tworzenia od „a”, lecz chodzi mi w tym artykule o przyszłość całej emigracji niepodległościowej, a nie o przyszłość Les Ageux.

Uważam zagadnienie za tak ważne i zarazem tak pilne, że byłbym zrozpaczony, gdyby się skończyło na tym moim „memento mori”. Dlatego apeluję gorąco do wszystkich ludzi myślących i piszących ze środowiska niepodległościowego, a między innymi szczególnie do prezesa Witolda Czerwińskiego, do min. Aleksandra Demideckiego, do generała Tadeusza Kasprzyckiego, do Józefa Łobodowskiego, do prof. Zygmunta Markiewicza, do prezesa Odrobnego w Niemczech, do red. Stanisława Paczyńskiego, do prof. Zdzisława Stahla, do Kazimierza Wierzyńskiego, do prof. Zygmunta Zaleskiego, wreszcie do młodych — magistra Jarosława Giercarza w Indii (inicjatora całej koncepcji) i Rafała Gan-Ganowicza, tak palającego żądzą praktycznego czynu — aby się choć w krótkich słowach wypowiedzieli publicznie.

W toku spokojnej i rzeczowej dyskusji z rzuconego maleńkiego ziarna może wyrosnąć piękny i soczysty owoc!



CZESŁAW JESMAN

NAOKOŁO ŚWIATA

# GŁÓWNI O BERLINIE

Bardzo przepraszam redaktora Hęciaka za wtrącanie się do nieswojej parafii. Muszę napisać coś o Berlinie. I — rzecz jak najbardziej karygodna — muszę zacząć od osobistej dygresji. Na prawdę bardzo przepraszam. Ilekroć czytam w polskiej gazecie zdania takie jak „Kiedy wysiadłem na lotnisku w Bababadzie”, albo „Właśnie spijaliśmy doskonale wino w „bistro” kiedy zobaczyłem znanego przyjaciela Polaków, podprefekta Ars-sur-Upe Monsieur Nigougou”, przypomina mi się cytata Kamila Cypriana Norwida: „Już mnie obrzydło mówić na bydo że nie bydo”. Ale w tym oto wypadku, w pokorze ducha, sądzę iż rozpoczynanie od „Ja” ma pewien sens. Nie jest jeszcze jedną hipostazą wybitnej postaci najnowszych dziejów oyczystych (do pp. korektorów: uprzejmie proszę o zachowanie „y”; to ma swój, naiwny, sens) która zamartwiała się na myśl o tym, co by to było gdyby mnie nie było.

Na ukochanej Białorusi (patrz Michał K. Pawlikowski „Dzieciństwo i Młodość Tadeusza Irteńskiego”) Niemcy tradycyjnie byli elementem komicznym. Utrwali się w podświadomości wedle kilku wzorów: A więc — lekarze, rzemieślnicy i mechanicy różnego gatunku. Naród pracowity, tępy i fachowo wykształcony. Dalej szli „bałtyccy baronowie”. Sądzę iż ilość dykteryjek które jeszcze za moich czasów krążyły po Wielkim Księstwie o nich dałaby się porównać z ilością „ormiańskich” przypowieści w dawnym Cesarstwie Rosyjskim. Ktośby powinien był je spisać. Np. opowiadanie o tym baronie który puścił się w tany pod dźwięki hymnu narodowego jednej z bałtyckich republik, gdzie piastował wysokie stanowisko „dla chleba”, na przyjęciu noworocznym w pałacu prezydenta. Albo o innym baronie, oficerze rosyjskiej marynarki wojennej: mówił po rosyjsku tak fatalnie iż z nim zdołał przypomnieć sobie słowa komendy „pełną parą wstecz” torpedowiec jego najechał na przystań. Nigdy nie mogłem brać na serio Niemców jako „rasy panów”. Przypuszczam, że oni siebie też nie (w głębi ducha) i że bestialstwa ery Schinkelgrubera wynikały z chęci pokrycia swojej wrodzonej a oczywistej niższości wobec reszty świata.

Jeszcze o „baronach”. Polonizowali się szybko, chętnie i dokładnie. Naród Platerów, Zyberk, Broel i tak sobie, przenikliwym tumanem rozpełzł się po całej Rzeczypospolitej Obojga narodów; Józef Weysenhoff był bratem Henryka Weysenhoffa; Hanna Manteuffel była najpiękniejszym „teenager” mojego pokolenia. Jej siostra Jola szybkoieguska wspinała, była posiadaczką strzelistej sylwetki, jedynej i niezapominalnej, nawet w dzisiejszych czasach kiedy światowy spisek hominternu rozbrajał panienki na codzien, a moda służy do ośmieszania i wynaturzenia damskiej postaci biorąc za to od durniów dziekie pieniądze. Podczas II wojny światowej prawie nikt z „polskich baronów” nie zeszmatał się.

Zrzędzeniem Opatrzności Boskiej zostało mi oszczędzone oglądanie „General Gouvernement” czy też „Wartehagu”. Ale wiedziałem o tym przed i po 1945-tym roku. Osobistej nienawiści do Niemców nie czułem, ale uczucie zimnego obrzydzenia pozostało. Zabawna rzecz: zamiera ono w Austrii czy niemieckiej Szwajcarii. Czyli iż jest to sprawa raczej podświadomości, operującej symbolami i asocjacjami aniżeli logiką. Austriacy i Szwajcarzy nigdy nie są dla mnie pożałowania godnymi kielba-

siarzami z całą ich techniką i tomiami przyczynków, i ciężkim cuchem i lukierkowanym sentymentalizmem, którym nagle potroiło się we łbach, że są statystami w operach Ryszarda Wagnera. Niech sobie będą podstawa Paneuropu, byleby nie musiał z nimi obcować.

Nieboszczyk cesarz Karol V-ty, El Rey Carlos Primero — suweren Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego mawiał, iż język niemiecki jest jedynym dla rozmów z koźmi.

Podzielałbym całkowicie zdanie tego światłego monarchy gdyby nie Berlin. Wspólnie przeżyte cierpienia łączą bardziej niż cokolwiek innego. Do Berlina zostałem odkomenderowany w lipcu r. 1948-go i, z krótkimi wypadami, mieszkałem tam „en poste” do stycznia r. 1950. Przeżyłem i „blokady” i „most powietrzny”. Tu muszę sam siebie przywołać do porządku: Staff Mess No. 1 na Kastanienallee, koło Reichskanzlerplatz, nieograniczone ilości służby, kantyny i alkohol po cenach jakże łatwo dostępnych, nie były cierpieniem w porównaniu z egzystencją kilkumilionowej ludności dogrzebującej się resztek wszelkiego rodzaju pośród mroźnej zimy i czarnej nocy poczucia kleski i winy i zawieszenia nadziei na wątej nitce snów.

Ale przeżyliśmy razem i klaustrofobię, i swąd osmalonych cegieł ciągle jeszcze drażniących powonienie, i zaduch niemytej ludności w kolejkach i tysiącach nieuniknionych irytacji, nieodłącznych od mieszkania we wnętrzach kamiennego trupa metropolii. Wytworzyła się też pomiędzy garnizonami zachodnimi a Berlińczykami subtelna ale zdumiewająca więź sympatii i zrozumienia wyższego rzędu, co bynajmniej nie oznaczało sympatii politycznej, historycznej czy naskórkowej. Stosunki towarzyskie z ludnością cywilną nie istniały.

Ale pamiętam powitanie Frau Elfriede, ślicznej i pełnej humoru i bardzo młodej kobiety z jej mężem po jego powrocie z niewoli sowieckiej; i pamiętam dr Waltera Reuthera, Oberburmistrza i człowieka najwyższego kalibru jakiego kiedykolwiek spotkałem na wysokim stanowisku; i pamiętam baletnice opery działającej we Wschodnim Berlinie, tańczące „Sylfidy” mimo głodowej diety i odrzucające możliwości wyjazdu na Zachód i bezcelne a obfite podarunki z Zachodu i Wschodu w jedzeniu, pić i nylonach. Kiedy indziej — z całą pewnością — poleciałoby na znacznie mniej. Ale, po babsku i bez logiki, twierdziły iż Berlin i pół-głodówka są ich bojowym stanowiskiem i z niego nie zejda. Spod ponurej błaznady hitlerizmu, startej nawet nie na nawóz ale na pra-azotniak jakże często wynurzało się prawdziwie i zapomniane bohaterstwo codzienne ludzi małych i najbardziej prozaicznych. W obliczu jego niemożliwe było szufladkowanie ich wedle wewnętrznych i zewnętrznych etykietek. Poza tym berlińskie „kwadratowe mordy” — Kwadratt Maulen — jakże często o nazwiskach brzmiących ze słowieńska, były wyjątkiem jeszcze pod jednym względem: nie plaszczyli się przed zwycięzcami, jak reszta Niemców w okresie pomiędzy kapitulacją a Adenauerem. Nabierali, owszem, natrząsali się, owszem, kiwali, owszem. Ale jedno z drugim odbywało się to jakoś na wesoło. A nade wszystko łączył mieszkańców Zachodniego Berlina, przyjezdnych i miejscowych, t. zw. „Front gegen den Affen”. Z Sowietarzami nie było i być nie mogło żadnego pomostu czy sieci porozumienia. Reżimowa misja wojsko-

wa mieściła się w Berlinie Zachodnim, bodajże na Uhlandstrasse 11, tuż koło Kurfürstendamm, jugosłowiańska, także po „tej” stronie nieistniejącego wówczas wału Ulbrichta. Tłusty Pieck patrolował jeszcze Sowdeutschem, co prawda. Natężenie ich wrogości do Niemców było oczywiście znacznie większe aniżeli wśród żołnierzy francuskich, amerykańskich czy brytyjskich. Ale mimo to stosunki Polaków i Jugosławiów z Niemcami opierały się na ludzkich przesłankach. Z jednej i z drugiej strony istniały możliwości porozumienia, przeproszenia, zadośćuczynienia i przebaczenia. Pomimo niewymiernego ogromu okrucieństw III Rzeszy niemiecki anty-człowiek i jego banda rządzący, raczej żerowali na najniższych instyktach swojego narodu zbyt krótko żeby przenicować go od diabelskiej podszywki. Dokonali tego spadkobiercy Lenina.

Minęło lat trzynaście. Berlin Zachodni pęka od dóbr doczesnych. Nastroje polityczne w najwyższym stopniu pesymistyczne, ale nie wpływają w najmniejszym stopniu na dobry humor Berlińczyków. Na prawo i lewo przedstawiciele wszystkich sfer i zawodów twierdzą iż miasto nieuchronnie zostanie pochłonięte przez komunizm. Nienawiść „Gegen den Affen” jest jeszcze większa aniżeli w r. 1950 i mimo to bardzo mało Berlińczyków decyduje się na wyjazd z Berlina. Miasto odbudowuje się w szybkim tempie. Mieszkańcy nasmiewają się z nowych budynków; są one rzeczywiście szpetne. Jeden z kościołów „echt” modern nazywa się potocznie „puderniczka i szminka do ust”. „Zachodnia” opera znana jest jako „Sing-Sing”, olbrzymi budynek kongresów jest „ostrzą w ciąży”. Wilhelmiańskie ozdóbki znikły prawie ze bez śladu. Toporna monumentalność Schinkelgrubera jeszcze trwa.

Ciągle się mówi iż Zachodni Berlin jest miastem emerytów, że młodzież wieje na Zachód. Kim więc są tabuny przesłanych panienek zaludniające Kurfürstendamm i plaże podberlińskich jezior? Skąd biorą się weseli i rozgadani chłopcy, opaleni na bronz, i bardziej przyjacielscy i mniej nadeści aniżeli żarłaczni technokraci Naderonii. Nad środkami miasta stoi różnokolorowa luna neonów; Ale o parę kilometrów w bok można wjechać w gęste sosnowe lasy i drogi takie że autostrada z Mior do Brasławia A.D. 1930 nie powstydziłaby się. Przestrzeni dużo; i świeżego powietrza. Mimo to uczucie klaustrofobii istnieje też; o kilkaset kroków oddycha nie inny system, nie wrogie mocarstwo ale odmienny straszny świat, czarna strona księżycy, świadomość jego niewątpliwie wpływa netylko na życie codzienne ale i na psychikę mieszkańców Berlina: poza rodzinnym miastem nie ich w gruncie rzeczy nie obchodzi. Jak narkomani dla dobrego samopoczucia potrzebują ciągłych dawek nastrojów paniki, katastrofy i „Untergang des Abendlandes”. Poczynam idąc na doskonałą kolację i do nachłokalu. I w tym miejscu z bólem stwierdziłem iż wielki zarobek przysnął mi raz jeszcze koło nosa. Podczas „blokady” ukazywało się w Berlinie czasopismo humorystyczne „Der Insulaner”. Było jawdowite, wspaniale redagowane a ilustrowane przez doskonałych rysowników. Czulem pismo nosem i starannie zbierałem wszystkie egzemplarze. Posiadałem, wyjeżdżając z Berlina w r. 1950 komplet. No, i jak ostatni dureń komuś pożyczylem. Dziś w Berlinie bibliofile płacą za komplety „Insulanera” po parę tysięcy marek.

## „ROZMOWY ZE STALINEM”

(Dokończenie ze str. 1)

próby podjęcia takiej zmiany. Dżilas wskazuje zbrodnie, popełnione na chłopach i na inteligencji oraz zbrodnie, popełnione na „lewicy” i „prawicy” — Chruszczow i jego poplecznicy nie upomnieli się o naprawienie tych krzywd, nawet ich nie potępili. Walka toczy się tylko o to, która grupa ma kierować partią komunistyczną. A tymczasem — mówi Dżilas — rzecz w tym, by znieść monopol władzy. Uwag tego rodzaju, rzecz jasna, nie ma w książce Dediżera — i myśli tego rodzaju nie ma u Tity, bo godziłyby one nie tylko w Chruszczowa, ale i w samego Tite.

Odwroćenie się Dżilasa od komunizmu nastąpiło na tle zetknięcia się z rzeczywistością sowiecką. Młody komunist-idealista widział w Rosji urzeczywistnienie wymarzonego ustroju bezklasowego, ucieleśnienie snów o społeczeństwie doskonałym. Spodziewał się, że ujrzy w Rosji człowieka odmieńonego przez nowy ustrój, lepszego i szlachetniejszego. Wprawdzie tłumaczy mu Stalin, że Armia Czerwona nie jest idealna i Związek Sowiecki nie jest idealny — ale czymże w takim razie wyższa jest Rosja od kapitalistycznych krajów Zachodu? Wstrząs, doznany w zetknięciu z sowiecką rzeczywistością, prowadzi Dżilasa krok po kroku do przewartościowania systemu, w którym ujrzał totalizm władzy, walkę o miejsce w słońcu i przy żłobie, intrygi i służalstwo dworaków, a jednocześnie wielkomocarstwo zawróci głowy i narodziny nowego Herrenvolku. Opisy nocnych uczt u Stalina czynią zupełnie wstrząsające wrażenie. Oglądamy te ucztę z uczuciem podobnym, z jakim oglądaliśmy biesiadę lotrzyków w „Viridiane” Bunela. W tym miejscu należy oddać sprawiedliwość talentom literackim Dżilasa: operując słownictwem bardzo oszczędnym, unikając rzucania zbyt jaskrawego światła na Stalina i jego dwór, osiąga Dżilas efekt, jaki dać może tylko niewątpliwa prawdziwość relacji. Te prawdziwość odczuwamy od początku do końca książki.

Przed kilkadziesiąt laty małżeństwo Sydney i Beatrice Webbowie wydali wielkie dzieło pt. „Cywilizacja sowiecka”, owoc żmudnej pracy, starannych studiów. Książka uchodzi za świetną, ale ma jeden defekt: Oto Webbowie nigdy nie byli w Rosji, dzieło swe napisali wyłącznie na podstawie publikacji sowieckich. Rezultat: nie ma ono nic wspólnego z rzeczywistością „kraju rad”. Niewielka objętość książki Dżilasa bije dzieło Webbow bezkonkurencyjnie, bo Dżilas Rosję widział i przeżył ją w zetknięciu osobistym. Cała Rosja jest np. w obrazku wagonu rządowego w luksusowym pociągu, którym Dżilas i jego jugosłowiańscy towarzysze jadą z Jassów do Kijowa: oto konduktor trzyma w klatce w swym przedziale kurę, znosząc ją i tłumaczy się zagranicznym dygnitarzom: „Co robić, towarzysze? Robotnik musi sobie jakąś dawać radę. Mam dużą rodzinę — a życie jest ciężkie”. A jednak Dżilas nie szkaluje Rosji. Ma np. gorące słowa dla ludności Leningradu, która po bohaterku przeszła straszne czasy oblężenia. Pisze ciepło o żołnierzach na froncie i o dowódcach. Nawet o bogach na sowieckim Olimpie pisze ze zrozumieniem, właśnie dlatego, że widzi w nich ludzi, a nie nadludzi. O Chruszczowie pisze wręcz z sympatią, a w każdym razie sprawiedliwie, jako o pierwszym dygnitarzu sowieckim, który interesuje się warunkami bytu prostych ludzi — robotników i kolchoźników.

Największym walorem tej książki nie jest jednak obraz Stalina, ani obraz Chruszczowa, lecz obraz samego Dżilasa, ukazanie ewolucji komunisty, który świadomie zerwał z tym, co było całą treścią jego życia: z partią, a zerwał z nią dlatego, że jest monopartią. Spowiedzi takich było już dużo, zaczynając od książki Panaít Istratego, a kończąc na zbiorze „The God That Failed”. To jednak jest pierwsza książka, napisana przez człowieka, który zerwał z komunizmem w okresie jego największych zwycięstw i największej potęgi i który sam w ruchu komunistycznym stał bardzo wysoko. A już największą wartością „Rozmów ze Stali-

nem” są ostatnie cztery strony tej książki, jej synteza, produkt wielkiej inteligencji i wielkiego doświadczenia politycznego, zaś wśród nich cztery ostatnie wiersze. Przytoczymy je tu dosłownie:

„Niestety, nawet teraz, po tak znacznej destalinizacji, trzeba dojść do tego samego wniosku, co uprzednio: Ci, co pragną żyć i przeżyć w świecie odmiennym od świata stworzonego przez Stalina, świata, który w swej istocie wciąż istnieje w pełnej mocy — muszą walczyć”.

To są wielkie słowa. Rewolucjonista od 18 roku życia, pozostał rewolucjonistą i teraz — pomimo gorczy tyłu zawodów i zdrad. Nie pozostawia żadnej wątpliwości, że wypowiada walkę komunizmowi, jego treści duchowej, a raczej jego duchowemu kalektwu, ale równie mało pozostawia wątpliwości, że cel jego walki jest pozytywny. Jest nim ludzkość, wolność, sprawiedliwość. Książka Dżilasa uczy nie tyle nienawidzić, ile szukać wciąż ideału i kochać ideał, choćby miał on być tylko marzeniem, albowiem — pisze Dżilas — „ludzie żyją w marzeniach i w rzeczywistości”. Swoją ostatnią podróż z Moskwy do Belgradu zamyka Dżilas nieśmiałym zapytaniem, przez które przebija nadzieja: „Raz jeszcze marzenie zostało zdumknięte przez rzeczywistość. Czyżby to mogło oznaczać, że zakiekuje nowe marzenie?”

Tyle razy upaść pod ciężarem doświadczeń — i nie załamać się, nie zrezygnować, nie wycofać się z walki może tylko człowiek wielkiego ducha. Jest to książka odważna, napisana przez człowieka mądrego i pięknego.

P.S. Polski przekład „Rozmów ze Stalinem” jest w druku staraniem biblioteki „Kultura”.

Adam Ciołkosz

### SOVIETICA

## „Niespodziewana” zgoda

Izaak Deutscher, który należał do głównych heroldów zerwania osi Moskwa-Pekin, przynajmniej półgębkiem w artykule pt.: „Moskwa i Pekin zgodziły się — różnić”, ogłoszonym w londyńskim Obserwerze z 1 bm., że zapowiadany od początku roku rozwód sowiecko-chiński nie doszedł do skutku. Zakończenie tego artykułu jest szczególnie interesujące, ponieważ jeszcze raz odsłania, o co w tym wyolbrzymianiu różnic taktycznych między głównymi stolicami komunistycznego bloku chodzi.

Deutscher pisze o dalszych perspektywach osi Moskwa-Pekin w konkluzji, co następuje: „Wiele będzie zależało od stanu stosunków między Rosją a Zachodem. Obecny rozejm rosyjsko-chiński odpowiada dyplomatycznemu zastojowi na Zachodzie. Każde odejście od tego zastoju, albo każde nowe posunięcie rosyjskie w kierunku odprężenia, mogą ożywić i pogłębić wewnętrzne konflikty komunistyczne”. Krótko mówiąc, zawsze ta sama rada dla zachodnich rządów: ustępowanie Rosji w Europie, a blok jej, zwłaszcza na głównej osi Moskwa-Pekin, sam się rozleci.

### ZNOWU NIEURODZAJ W KAZACHSTANIE

„Dziewicze ziemie” Kazachstanu, których zagospodarowanie po śmierci Stalina stało się głównym atutem polityki rolnej Chruszczowa, są znowu w tym roku dramatycznym problemem Kremła. Po katastrofie organizacyjnej w 1959 r. i fatalnej suszy w 1960 r. obecnie zabrakło kwalifikowanych mechaników i sprzętu. Pierwsze jaskółki kłopotów w Kazachstanie podała prasa a ostatnio na alarmy władz lokalnych odezwały się Komitet Centralny partii i rada ministrów z publicznym apelem. Kazachstanowi potrzeba, do prowadzenia i naprawy motorowego sprzętu, nie mniej ni więcej, jak 70 tysięcy mechaników, o których przysłanie zwrócono się do Moskwy. Komunikat centrali stwierdza jed-



# XVI Zjazd SPK — W. Brytania

Szesnasty kolejny zjazd SPK — W. Brytania, który odbył się w dniach 6 i 7 lipca 1962 był, według słów prezesa S. Soboniewskiego, zjazdem przede wszystkim roboczym, w przeciwieństwie do zeszłorocznego, piętnastego, któremu nadano bardziej odświętny, jubileuszowy charakter. Uroczyste było jedynie otwarcie w teatralnej sali Ogniska Polskiego, w którym oprócz kilkudziesięciu delegatów wzięli udział również czelwici przedstawiciele emigracji politycznej i reprezentanci zorganizowanego życia społecznego. Przybyli gen. W. Anders i T. Bór-Komorowski wraz z kilkunastu wyższymi dowódcami, prezesi TRJN dr T. Bielecki i EZN dr W. Czerwiński, przedstawiciele sfer politycznych, dalej red. P. Hęciak — prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii oraz inni, liczni działacze społeczni.

Po wejściu pocztu sztandarowego i odśpiewaniu Hymnu Narodowego, powitalne przemówienie wygłosił prez. S. Soboniewski. Po przywitaniu gości i złożeniu hołdu pamięci zmarłych, dało ono zwyczajny przegląd stanu, osiągnięć i zamierzeń SPK — W. Brytania, które jest najliczniejszym zgrupowaniem b. żołnierzy polskich na emigracji. Mówca ujął to w pięciu najważniejszych punktach: 1) Prowadzenie szkół ojczystrych, pomoc i opieka nad nimi. Ilość szkół zarejestrowanych w SPK w W. Brytanii wynosi dziś 52 ze 194 nauczycielami, 9 inspektorami szkolnymi i przeszło trzema tysiącami dzieci. 2) Stwarzanie warunków do organizacji klubów młodzieńców. Z przyjemnością konstatając, że ostatni rok przyniósł dalsze organizacyjne ich powiększenie. Klubów tych jest już 24 i mamy nadzieję, że będzie ich więcej, jeśli tylko znajdzie się odpowiednia ilość instruktorów. 3) Opieka nad starszymi wiekiem i niezdolnymi do pracy, a zwłaszcza nad weteranami pierwszej i drugiej wojny światowej. Polski ośrodek w Penrhos posiada obecnie kilkadziesiąt wolnych pokoi dla tej kategorii osób, chcących z niego skorzystać. 4) Krzewienie polskiej kul-

tury narodowej po przez prowadzenie bibliotek, zespołów chóralnych, muzycznych, tańców narodowych i film. 5) Środki budżetowe na prace SPK w W. Brytanii wahać się w granicach ok. £15.000 rocznie, na co składają się opłaty członkowskie, imprezy i dotacje władz centralnych. Jakkolwiek środki finansowe są ważnym elementem w życiu organizacji, to jednak osiągnięte efekty pracy są zdobywane ogromną ofiarnością i bezinteresownością dziesiątków wypróbowanych działaczy kombatanckich, którym, w imieniu SPK, mówca składa podziękowanie.

Kończąc prezes S. Soboniewski podkreślił, że SPK jako zorganizowany trzon emigracji politycznej w W. Brytanii „jest i będzie wszędzie tam, gdzie chodzi o dobro Polski, gdzie chodzi o jej wolność i niepodległość”.

## GEN. W. ANDERS O SYTUACJI MIĘDZYNARODOWEJ I NASZYCH OBOWIĄZKACH WOBEC POLSKI

Następnie, powitany serdecznie, uczynnymi oklaskami wszedł na trybunę gen. W. Anders, który przede wszystkim podkreślił znaczny dorobek SPK, wyraził zadowolenie z przybywania elementu młodszego i zachęcił do dalszych postępów w tym kierunku.

Przechodząc do tematów ogólniejszych, gen. Anders przypomniał, że przeżyliśmy od zakończenia wojny rozmaite lata, lata nadziei i rozczarowań, zimnej albo także gorących wojen, jakie w niektórych częściach globu toczą się zresztą i teraz. Niebezpieczeństwo imperializmu Moskwy wisi wciąż nad światem, o czym nie wolno zapominać. Rosja wprawdzie ma wiele trudności wewnętrznych, zwłaszcza stały niedostatek żywności, obecnie większy niż w innych latach. Po śmierci Stalina i likwidacji dawnego aparatu NKWD z Berią na czele, przy czym zginęło około 20 tysięcy ludzi, terror zelżał, ale w łagrach i więzieniach jest przecież dalej 5 do 6 milionów ludzi, a ostatnie dekryty zastraszają znowu policyjny nadzór.

Mimo swoje trudności wewnętrzne i braki wyżywienia oraz innych towarów konsumpcyjnych, Rosja zbroi się dalej intensywnie a Chruszczow wygraża Zachodowi. 500 sztuk łodzi podwodnych, potężne lotnictwo i najliczniejsza armia lądowa świata, to czynniki potęgi militarnej. Od objęcia władzy przez Kennedy'ego rosła jednak także w szybkim tempie siły wojskowe Stanów Zjednoczonych. Na drodze do ustalenia pokoju w świecie stoi przede wszystkim Rosja Sowiecka, która o własne grzechy i złe zamiary oskarża innych i zwłaszcza Amerykę. Sama będąc imperium najgorszego nowoczesnego kolonializmu, oskarża o to państwa zachodnie, które właśnie na naszych oczach z kolonii się stopniowo wycofują. Opinia zachodnia, niestety, wierzyc często propagandzie komunistycznej i ulega, odnośnie do Sowietów wielu złudzeniom.

Nasza emigracyjna akcja polityczną operamy o Zjednoczenie, które winniśmy usprawnić, ulepszyć. Wybory, ostatnio przeprowadzone do Rady Jedności Narodowej dały ilościowe wyniki lepsze, niż spodziewano się, mimo że kontrakcja komunistycznych wytyczek, a także niektórych polskich ośrodków emigracyjnych była energiczna. Ta akcja przeciwko emigracji, którą ze strony komunistów ostatnio obserwujemy, dowodzi że sami oni nie wierzą własnym hasłom, jakoby „emigracja nie miała żadnego znaczenia”.

W rzeczywistości niejedną ulgę i korzyść potrafilibyśmy uzyskać dla Kraju, nawet w dzisiejszych warunkach światowego położenia. Pomoc gospodarcza, uznanie granicy na Odrze i Nysie, tymczasem przez Francję prez. de Gaulle'a, lecz miejmy nadzieję z kolei w odpowiednich momentach przez innych, do tych wyników z pewnością przyczyniła się nasza akcja. Nie zapominamy też o ziemiach wschodnich, o Lwowie i Wilnie, o których to miastach pamiętają rodacy w Kraju.

Po roku 1956 powstała nadzieja, że zelżenie kursu za Gomułki to „pierwszy etap do wolności”, ale dziś tego nikt, kto jest dobrej woli, nie może już twier-

dzić. W Polsce jest większa swoboda, niż w innych krajach opanowanych przez komunizm, nie ma kolchozów, dzięki czemu jest co jeść, ale nie ma wolności ani niepodległości. Bezpieczeństwo polskie pozostało i prześladowanie religii coraz się wzmacnia, a Kardynał Wyszyński, prawdziwy przywódca narodu, natrafia na coraz większe trudności. Nad wszystkim ciąży imperializm Rosji i dopiero jego upadek otworzyć może widoki wolności.

„My, na emigracji — kończył gen. Anders — póki żyjemy musimy wszystko z siebie dać dla dobra Polski, dla najważniejszego celu: przymiesienia wolności narodowi. Wróć do Polski chcemy, nie ażeby tam rządzić, lecz aby naród mógł sobie sam swój rząd wybrać. Ku chwale Ojczyzny, życzę Wam, abyście poprowadzili wasze obrady”.

Gorące, pełne troski o sprawę polską słowa gen. Andersa spotkały się z żywym zrozumieniem i gorącym przyjęciem długotrwałymi oklaskami ze strony zebranych. (a)

# NOWE FILMY

## „HAND IN HAND“

Ten brytyjski film dostał 8 nagród międzynarodowych. A poza tym grają w nim: John Gregson i Finlay Currie, Orzechy. W ogóle jest to film o dzieciach — dzieci to chyba jedyny poważnie zainteresowanie jakie ma ludzkość. Młodzi aktorzy, obojętnie jak grają, choćby najbardziej fatalnie, podobają się, co się nie zawsze zdarza starym aktorom.

Wszystko byłoby dobrze. Dziewczynka: Loretta Pary milutka, chłopak a raczej chłopczyk 7 czy 8 letni Filip Needs taki jak trzeba, gdyby... niepotrzebnie moim zdaniem... nie wtrącono w to spraw religijnych. Film lansuje opinie, a w każdym razie na to wygląda, że to głosi, że wszystkie religie są jednakowo dobre, aby się tylko ludzie kochali. Dziewczynka jest Żydówką, a chłopak chrześcijaninem. Są nieodłącznymi towarzyszami, gdy nagle koleśdy mówią mu, że przecież to Żydzi zabili Chrystusa. A więc dziewczynka odpowiada za to jako Żydówka. Ale jakoś przechodzą oboje nad tą sprawą do porządku dziennego. Chłopak wierzyc jej gdy ta mu mówi: Ja nikogo nie zabiłam!

Dzieci są filuterne, i w tajemnicy przed rodzicami chcą zbadać na czym polegają różnice ich religii. Chłopak idzie do synagogi a dziewczynka do kościoła. Film nie bardzo pokazuje co się dzieje w ich duszach, ograniczając się raczej do rejestrowania ich zachowania się. Ale wruszający jest moment gdy dziewczynka mówi o Matce Boskiej z Dzieciątkiem: — Ona się do mnie uśmiecha!

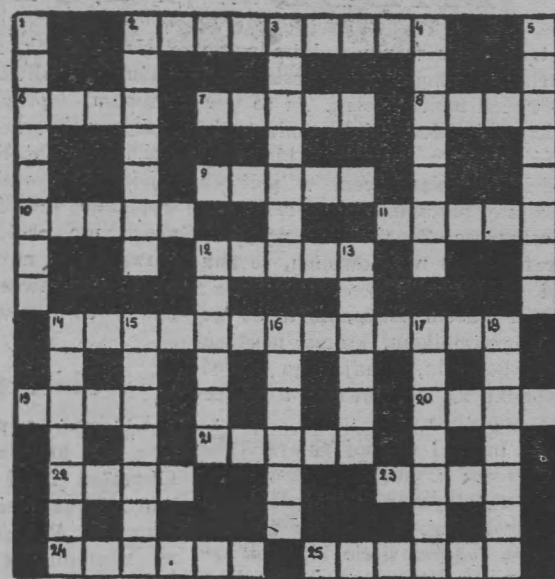
Film się kończy nijako. Oboje jadą rzeką, w drodze do Afryki dziecięcej fantazji. Na jazie łódź się przewraca, dziewczynka traci przytomność, ale w końcu pod opieką lekarską, którą sprowadził chłopak, przychodzi do siebie. U drzwi domu dziewczynki spotykają się rabin z duchownym chrześcijańskim, by dojść do wniosku, że właściwie nie ma różnic w religiach. Niestety, my wiemy że są. I dlatego film brzmi jakoś dziwnie, a jego myśl to właściwie jeszcze jedno postanie dobrej woli. W filmie jest wiele ech. Są jakies filmy francuskie (np. pogrzeb myszy, którą dzieci chowają z ceremoniałem pseudo-religijnym), są odległe aluzje do Soboru, który złagodzić być może różnice między odłami chrześcijańskimi itp.

Jest oczywiście dużo idealizmu, ale to za mało by stworzyć naprawdę wartościowy film. Producent: Helena Winston, reżyser: Filip Leacock. Wytwórnia Associated British, Dystrybucja Warner—Pathe.

## „THE POT CARRIERS“

Film brytyjski celuje w filmach srodowiskowych. Inna rzecz czy o czasie do czasu nas nie nabiera pod tym względem. Mam taką wątpliwość przy filmie obecnym, będącym komedią zmieszana z melodramatem, na temat życia więziennego w Londynie. Po pierwszych momentach grozy, gdy niby dzwony rozlegają się stukoty otwieranych i zamykanych za młodym przestępcą (który przebił rywala do uczuć panny) drzwi więziennych, następują chwile beztrojskiego śmiechu gdy oglądamy jak się okrada więzienie. Cały dowcip jaki posiadali twórcy scenariusza: T. Morrison i M. Watts (zresz-

## KRZYŻÓWKA Nr 469/62



### ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) pojazd; 6) i 8) taki kogut; 7) malarz polski; 9) strzelające połączenie?; 10) i 11) słuchaj jej, to unikniesz przykrych konsekwencji; 12) miasto w Polsce; 14) z szafą obmyślone, z literami pomyłkowe; 19) tak biegł nieboraczek (wspak); 20) miejsce dla kobyłki?; 21) 21) najbardziej znana czarna; 22) i 23) kłopoty z opakowaniem; 24) gra dla chłopców (wspak); 25) jedna z ba-do-re-but.

Pionowe: 1) prowokacja przy zamku?; 2) wskroś; 3) część uzbrojenia Erosa; 4) u pianisty temperament i żywość (wspak); 5) dawne bojowe nakrycia głowy; 12) skomlikowana całość; 13) mała i ciasna; 14) w przysłowiowym pół konia i pół zajaca; 15) okupant; 16) z Kastylią dał Hiszpanię; 17) skasowanie błędu; 18) rodzaj poezji lirycznej.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 458/62

Poziome: 1) chłop, 4) polot, 6) częstokół, 7) i 10) cukierek, 9) i 24) usypia, 14) i 15) albowiem, 18) Jeremiasz, 20) źle, 21) Ata, 22) skoczek, 23 i 25) awantura.

Pionowe: 1) caryca, 2) pręt, 3) katusze, 4) pika, 5) tyczka, 8) koleje, 11) Rzesza, 12) pokraka, 13) świadek, 16) kuźnia, 17) szarfa, 19) macki.

## BRIDŻ

Licytacja przeciwników jest pożyteczną wskazówką dla rozgrywki. S wygrał cztery piki tylko dzięki temu, że W rozpoczął licytację karami.

♠ 5 4 2			
♥ 8 5 4			
♦ A 8 4			
♣ D 9 7 3			
♠ 9 3			
♥ A 10 7			
♦ K D W 5 3			
♣ K 8 4			
	N		
	W 10		
	♥ D W 7		
	♦ 10 9 7 6 2		
	♣ W 10 6		
	♠ A K D 8 7 6		
	♥ K 9 6 3		
	♦ —		
	♣ A 5 2		

W zaatakował królem karo. Już pierwsza lewa zdecydowała o wyniku gry. Bez informacji licytacyjnej S mógł skorzystać z dostania się na stół, by zaimpasować do króla kier. Na podstawie licytacji przyjął, że W posiada króla trefli i groźnego dla tego rozkładu asa kierowego. Trafnie przeczytawszy niewidziane karty wygrywa grę w następujący sposób:

Karowego króla nie bije asem lecz atutuje w ręku i zagrywa małe trefli. Jeśli W zabije królem S po wyatutowaniu dwa kiery zrzuca na asa karowego i fortę treflową. Jeśli nie weźmie króla trefli, wtedy na asa karo poleci z ręki ostatnia błotka treflowa i pozostaną do oddania tylko trzy kiery.

Kazimierz Schleyen

## CZYTAJ POLSKĄ KSIĄŻKĘ

Wzmocnienie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

### KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania. Laboratoire B. KALEFLUID FRANCJA 66, Bld. Exelmans, Paris 16-e.

## PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

Przedstawicielstwo banku transferowego

## HASKOBA LTD

121, EARLS COURT ROAD, LONDON, S.W.5. FRE 7888. PACZKI WOLNE OD CŁA

## Ukazała się nakładem „Kultury“ PAWŁA ZAREMBY

# HISTORIA POLSKI

### CZĘŚĆ I.

obejmująca okres od zarania Państwa do r. 1506 to jest doprowadzona do przełomu Średniowiecza i czasów nowożytnych.

„HISTORIA POLSKI“ Pawła Zaremby jest próbą syntezy dziejów Polski na tle rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Europy.

600 stron dużego formatu z indeksem.

Cena 30/-, \$ 4.25 lub 20 NF.

Sprzedaje w W. Brytanii:

„GRYF“

171, BATTERSEA CHURCH RD. LONDON, S.W. 11.

## oda Moskwy z Pekinem

nak, że trzymilionowa ludność rolnego obszaru Kazachstanu powinna była sama pokryć to zapotrzebowanie i możliwe jest tylko przyczynienie się ze strony innych prowincji do rozwiązania tego problemu. Jakkolwiek uzasadnione może być to moralizowanie władz prowincjonalnych, udzielenie pomocy jednemu z głównych śpichlerzy Rosji Sowieckiej jest koniecznością, której Kreml nie może uniknąć. Znowu więc usłyszymy o „ochotniczych“ wyjazdach do Kazachstanu a następnie o czystce niższych funkcjonariuszy, którzy zostaną wybrani na ofiarnych kozłach nowej kompromitacji sowieckiego systemu kolektywnych i państwowych gospodarstw.

## ALBAŃCZYCY I INNI GOŚCIE W MOSKWIE

Na kongresie światowym „rozbrojenia i pokoju“, rozpoczętym 9 bm. w Moskwie pojawiła się niespodziewanie delegacja albańska, co — wobec znanego konfliktu między komunistami Tirany a Kremla — wywołało niemałą sensację. Inni, ważniejsi goście to londyński kanonik katedry św. Pawła John Collins, prof. John Bernal i nagrana mowa filozofa Bertranda Russell'a któremu jedynie 90 lat na karku nie pozwoliło udać się do stolicy bolszewickich „pacyfistów“.

Szczytem obłudy moskiewskiego kongresu są judaszowe potępienia amerykańskich doświadczeń nuklearnych, robionych obecnie na terytorium Stanów Zj. i na Pacyfiku. Jak pamiętamy, Rosja właśnie zerwała na jesieni ub. roku 1961 moratorium atomowe seria kilkadziesiąt wybuchów i to dopiero zmusiło Amerykę do podjęcia z kolei prób własnych. (s)

**BILETY, SPROWADZANIE RODZIN Z POLSKI**  
**ANGLOPOL TRAVEL**  
 Tel. FRE 1155  
 121, Earls Court Rd., London, S.W.5.



## MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Błąd techniczny w poprzednim numerze „Orla” spowodował przedstawienie tytułów dwóch moich plotek. Ta co miała się nazywać „Złudzenie”, zamiast zdobyć treść uwag o wyższości kłamstwa w miłości nad kłamstwem w polityce, umieściła się bezczelnie nad refleksjami o Szekspirze. Za to „Sen nocy letniej” trafił gdzie nie powinien, to znaczy nad „Złudzenia”.

Dziwnym trafem przypadło to do gustu kilku czytelników, którzy pogratulowali mi pomysłu, uznając go w jednym wypadku za „wymowny”, a w drugim za „przewrotny”.

Niestety nie był to mój pomysł tylko pośpiech zecera i zmęczenie korektora. Nie zaprzętałbym nikomu głowy takimi szczegółami, gdyby nie życzenie wyraźne w jednym liście i zakończone prośbą o poruszenie sprawy właśnie w „plotkach”. Cytuję: „pomysł dobry, ale przyznaję szczerze, że choć się domyślałam, to jednak całkowicie nie rozumiem alegorii”.

Ja też nie rozumiem, Drogi Panie B., i ma Pan tę ogromną nade mną wyższość, że Pan się „domyśla”. Ja nawet tego o sobie powiedzieć nie mogę.

### Obrona podrostków tudzież podlotków

Podjął ją niedawno jeden z czołowych kaznodziej kościoła metodystów angielskich: „Prześcieńcie narzekać na zachowanie się młodzieży”.

Przyklaskuję wezwaniu, gdyż sam niejednokrotnie broniłem chłopców i dziewcząt w wieku od 15 do 20 lat, stwierdzając, że są i mądrzejsi i przyzwoitsi niż piętnastolatki z przed lat trzydziestu.

Lecz zdumiały mnie powody, którymi światły duchowny poparł swe wezwanie. Twierdzi mianowicie, że młodzież dzisiejsza zasługuje na wyrozumiałość dlatego, że „stoi u progu nowych czasów”. Za przeproszeniem! Jakaż młodzież nie stawała przed progami nowych czasów? I dlaczego z tego bardzo już starego powodu należy być wyrozumiałym w stosunku do dziewczęcia, które ku rozpacz mamusi zamiast wracać z tańcówki o dziewiętej w stanie trzeźwym, wraca o wpół do trzeciej w stanie zwanym? Lub w stosunku do osobnika o artystycznie zaczesanych włosach i wązłutkich porteczkach, który bojąc się odciać silniejszym kolegom, gdy mu śluczą, wyładowuje swój zły humor na rozczepianych w zasadach nowoczesnej pedagogiki i zupełnie wskutek tego bezradnych rodzicach?

Coś tu „nie gra” proszę księdza. Nie należy narzekać na „młodzież nowoczesną”, dlatego, że w gruncie niczym się nie różni od nas, gdy byliśmy młodzi. Za wybryki i historię, trzeba nie narzekając i wcale się nie denerwując, skrzyżać faceta lub facetkę, a w zależności od „specyfiki miejsca i czasu” dać mu lub jej w tak zwaną skórę.

Nie ubliży to niczyjej „godności” ani nie „wyzwoli kompleksów”. Natomiast nie należy wymagać by zdrowy podlotek więcej sobie cenil podręcznik zoologii niż randkę z piegowatym Józkiem, a zdrowy podrostek bardziej się interesował gramatyką łacińską niż motocyklem. Nie trzeba wymagać rzeczy niemożliwych. Zabawa nie tylko dla bardzo młodych jest ciekawsza od pracy... A równowagę utrzymuje tylko poczucie obowiązku. Każdy system wychowania będzie dobry byleby wdrożył poczucie obowiązku.

A poza tym niech się bawią i niech jeżdżą na motocyklach. Są zdrowi i silniejsi fizycznie i dojrzewają wcześniej. I mniej w nich — powtarzam to znowu — hipokryzji, która była głównym naszym grzechem w młodości, podobnie jak w młodości naszych rodziców.

### 104-te i 105-te...

Takie kolejne numery w Organizacji Narodów Zjednoczonych otrzymują dwa nowe niepodległe państwa. Jedno nazywa się Ruanda, drugie Urundi. Podają te nazwy, gdyż łatwiej je w tym brzmieniu znaleźć na mapie, jeśli kto amator. A potrwają parę lat jeszcze nim „nowe narody” zdecydują się ostatecznie jak się chcą nazywać. I czy życzą sobie być „narodami”.

Nawet blok afro-azjatycki miał poważne wątpliwości, czy należy dwóm krajom przyznawać niepodległość. Wszyscy by woleli, żeby jakoś poczekać i żeby batalion spadochroniarzy belgijskich pozostał na miejscu. Lecz nie wypadało prosić Belgów by zostali a skoro nie chcieli zostać by pilnować porządku i narażać się na wyzwiska z powodu swego „imperializmu” więc mamy dwa nowe niepodległe państwa.

### Chirurgia społeczna

Wiadomo o nich tyle, że mają razem 500 km dróg bitych, ani jednego kilometra kolei żelaznej i że obywatele zabierają się rażno do reform społecznych. Polegają one między innymi na równaniu w dół. W znaczeniu dosłownym. Plemię Watutsi, które gnębiło inne plemiona, ma przeciętnie dwa metry wzrostu. Jak równość to równość, powiedziały plemiona dotychczas gnębione i złapawszy wysokiego Watutsi obcinają mu nogi na wysokości kolan. Rzekomo dokonano już tysięcy podobnych operacji.

Wymyślaliśmy kiedyś na „inżynierię społeczną”. Co zrobić z tym nowym wynalazkiem, który śmiało można nazwać społeczną chirurgią. Jest to niestety chirurgia bez znieczulenia.

### Komu wolno być demagogiem?

Każdemu kto ma właściwy kolor skóry — odpowiada kanadyjskich „Maclean” w artykule pod tytułem „Kiedy grzech jest cnotą”. Właściwym kolorem skóry jest kolor czarny.

Obecna moda wymaga cichego zachwyty i lekroć osobnik o czarnej skórze potępia ludzi białych. W myśl zasady: dosyć tego. Dosyć gnębienia czarnych przez białych. Lecz czarnym wolno gnębić czarnych ile dusza zapagnie. Z tego powodu wstrętny terror grupy demagogów w Ganie przykrywamy chętnie milczeniem bo Nkruma jest „postępowy”. „Postępowy” jest Mau-Mau i czarnoksiężstwo i ludożerstwo i palenie szpitali. W każdym kraiku grupa demagogów ujeżdżająca po stolicy w chevroletach i gnębiąca dowoli swych „wyzwolonych” „rodaków” jest otoczona szacunkiem od Londynu po Nowy York, gdyż jest „postępowy”. Tylko Katanga, która nie chce by stanęły fabryki i by się wyrzynano beztropko z lada okazji — jest „reakcyjna”.

Można i tak.

### Przysięga Hipokratesa

W Saskatchewan zastrajkowali lekarze. Nie jest to plotka, lecz prawda. Zastrajkowali na znak protestu przeciwko próbom uspołecznienia służby zdrowia przez rząd tej prowincji kanadyjskiej.

Z innych prowincji, ze Stanów Zjednoczonych i z Wielkiej Brytanii przybawają na gwałt lekarze-ochotnicy, by przejąć opiekę nad szpitalami. Zaciełtrzewieni lekarze miejscowi nazywają ich „lamistrajkami”. Oczywiście nie wszyscy, bo nie wszyscy lekarze Saskatchewanu zastrajkowali.

Strajk skończy się zapewne jakimś kompromisem. Jak każdy strajk. Lecz wydaje się, że żaden lekarz, który dopuścił się złamania swej przysięgi, nie powinien już nigdy wykonywać swego zawodu. Gdzież jest bowiem granica między odmową leczenia a wyrażeniem zgody na morderstwo?

### Jeden pociąg na pół pasażera

Anglia likwiduje kolejno linie pasażerskie, które przestały spełniać swe zadanie. W epoce samochodu i autobusu linii takich jest co nie miara. Lecz zeszwał odzywają się głosy protestu. By udowodnić, że ma rację minister transportu dokonał następującego eksperymentu. Pociągiem do Brecon pojechało trzech przedstawicieli Lorda Mayora Londynu, trzech urzędników kolejowych i jeden obserwator z Komisji Transportu. Po to by sprawdzić „ruch na linii”. W drodze powrotnej do pociągu wsiadł pasażer z opłaconym biletem. W ten sposób pociąg ważący 160 ton odbył drogę po to by przewieźć połowę pasażera o wadze 35 kilogramów...

„Jest to takie same marnotrastwo — powiedział minister Marples — jakie popełnilibyśmy montując pięcioletni dźwig po to, by podnieść z ziemi butelkę piwa”. Dlaczego wybrał przykład z piwem — nie wiadomo.

J. P. H.

**GRYP**  
SZYBKO I TANIO!  
Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
wykonują  
ZAKŁADY GRAFICZNE  
**GRYP PRINTERS (H.C.) LTD.**  
171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W.11.  
Telefon: BAT 0879

### NA WYCZERPANIU

NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI  
(tom III-ci — 912 stron)

Władysława Pobóg-Malinowskiego

OSTATNIE egzemplarze w cenie 50/- do nabycia w GRYP PUBLICATIONS LTD.,  
171, Battersea Church Rd., London, S.W.11 i we wszystkich księgarniach polskich

## ZBRODNIA KATYŃSKA

W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

Wydanie trzecie — uzupełnione

Stron 300, fotografie, indeks.

Cena 35/-.

Do nabycia u wydawcy:

GRYP PUBLICATIONS LTD.,

171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W.11

i we wszystkich księgarniach polskich.

### MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ

najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyslesz przez

**P. C. STORES**

S. BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel.: KNI 0747

## KONKURS CHOPINOWSKI DLA MŁODZIEŻY

Bez subsydiów, wysiłkami ofiarnych jednostek, i wysiłkiem prof. S. Niekraszowej, prezesa i założyciela Zjednoczenia Pol. Art. Muzyków Zagranicą w Londynie, Zjednoczenie Muzyków wypełnia ważną rolę poza granicami kraju. Bogatą roczną działalność Z.P.A.M.Z. oraz projekty na najbliższą przyszłość omawiano na nadzwyczajnym Zebraniu w sali Bibliotecznej Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego. Do ważniejszych pozycji rocznego bilansu Z.P.A.M.Z. zaliczamy: pięć audycji dydaktyczno-muzycznych dla młodzieży szkolnej i akademickiej, powstających twórczości kompozytorów polskich, w Londynie, Szkocji i Yorkshire.

Część muzyczną wypełniali członkowie Zjednoczenia P.A.M.Z., pianiści Natalia Karp, Stefania Niekraszowa, Jerzy Kropiwnicki, Juliusz Lepiankiewicz, artyści operowi: dr S. Pieczora, Marian Nowakowski, Loda Bielicka (BBC), Hanula Rżoska. Nastrój i tło koncertów wprowadzali żywym słowem prelegenci: Chopinolog Arthur Hedley, dr Witold Czerwiński, dr L. Surzyński, dr Wiesław Strzałkowski, prof. S. Niekraszowa, Maria Jankowska, mgr J.A. Cydzik.

Celem Zjednoczenia P.A.M.Z. jest również wywalczenie w środowisku obcym należytej pozycji współczesnym kompozytorom polskim. W przygotowaniu koncert symfoniczny współczesnych kompozytorów polskich pod dyr. A. Panufnika. W programach koncertów uczni I Polskiej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina (pod auspicjami Z.P.A.M.Z.), w sali „Ogniska” i Pol. YMCA., figurują nazwiska współczesnych kompozytorów polskich: W. Lutosławski, T. Kassern, Markiewiczówna, T. Szeliński, W. Raczkowski i inni. Artyści Zjed. Pol. A.M.Z. brali udział w 40-tym z rzędu koncercie muzyki polskiej, organizowanym przez prof. S. Niekraszową dla inwalidów ostatniej wojny światowej w szpitalu nerwowo chorych w Epsom. Konferansjerką tych koncertów prowadziła Maria Jankowska, Hon. Sekretarz Z.P.A.M.Z., która brała także udział w

programach wokalnych, śpiewając pieśni i arie dla tysięcy pacjentów różnych narodowości, nie wyłączając pieśni w języku perskim i arabskim.

Największą aktywność wykazał Zarząd Z.P.A.M.Z. w oddaniu hołdu twórczości Chopina. Poza artykułami o Chopinie i jego twórczości (drukowanymi w pismach polskich w W. Brytanii, Niemczech, Kanadzie, Francji), przez S. Niekraszową wygłosiła szereg odczytów. M. Jankowska mówiła o wpływie muzyki Chopina w czasach mu współczesnych i w dobie obecnej — (w język. w sali kameralnej The Royal Festival Hall).

Po raz pierwszy zamówione zostały nabożeństwa za Chopina w kościołach polskich w Londynie, Ameryce i Msze wieczyste w Rzymie. Z okazji Roku Chopinowskiego Z.P.A.M.Z. zorganizowało wielki koncert, poświęcony twórczości kompozytora w sali Westminster Cathedral Hall, S. Niekraszowa — Wieczór w „Ognisku Polskim” z prelekcją A. Hedley'a i wystawą pamiątek i rękopisów Chopina, i recitale Natalii Karp.

Wydarzeniem w życiu emigracji będzie „Pierwszy Konkurs Chopinowski dla młodzieży wszystkich ras i narodowości”, który odbędzie się 22-23 lutego 1963 r. w 153-cią rocznicę urodzin Chopina. Międzynarodowa Komisja artystyczna przygotowuje program obowiązuje utworów dla 3 grup przysiężonych laureatów Konkursu. Wśród nazwisk jury figurują słynni pianiści polscy i zagraniczni oraz profesorowie Królewskich Akademii i College'ów Muzycznych W. Brytanii. Z.P.A.M.Z. przyjmuje już zapisy kandydatów na Konkurs (55, Princess Gate, S.W. 7.)

I Konkurs Chopinowski dla młodzieży, oprócz bezinteresownej pracy organizatorów, wymaga i ogromnych kosztów finansowych na pokrycie druków, ogłoszeń, sal, impresaria, opłat jury, nagród dla laureatów itd. Mamy nadzieję, że społeczeństwo poprze finansowo tę inicjatywę, aby tak piękny plan mógł być zrealizowany.

## O PERIODYKACH

Maria L. Danilewicz — Literature. The year's work in MODERN LANGUAGE STUDIES. Vol. XXII/1960, pp. 506-536.

Odbitka z rozdziału poświęconego przeglądowi bibliografii za rok 1960 w zakresie badań nad literaturą polską. Obejmuje druki wydane zarówno w Kraju jak i poza nim. Niezwykle pracowniście przygotowany i wyczerpujący obraz prac nad historią i krytyką literatury, podzielony na działy i epoki. Obejmuje również uzupełnienia z 1959 i rzeczy wydane już w r. 1961. Uwzględnia m.in. art. J. Łobodzkiego „O Tadeuszu Sułkowskim” ogłoszony w „Orle Białym”.

Maria L. Danilewiczowa — Chamier's Anecdotes of Russia, 1829-30. The SLAVONIC and EAST EUROPEAN REVIEW. Vol. XL, No. 94, December 1961 pp. 85-98.

Odbitka z rozprawy o „Anegdotach” napisanych przez oficera marynarki angielskiej Fredericka Chamiera, rzucających nowe światło na polskie życie literacko-artystyczne w Rosji w latach 1830-tych, a zwłaszcza na ówczesną twórczość Mickiewicza.

TECHNIKA I NAUKA — Organ Polskich Stowarzyszeń Technicznych na Obczyźnie. Nr 14. Styczeń-Marzec 1962. Str. 32.

Numer otwierający czwarty rok istnienia tego kwartalnika naukowo-technicznego. Poza słowem od redakcji zawierającym m.in. podziękowanie dla Polish University College Association za subwencję dla tego wydawnictwa, na zeszyt ten składają się dwie rozprawy. Inż. J. Franka o mechanizmach krzywkowych (Cz. II) oraz inż. S.K. Liszka — Metoda równoważenia momentów dla ustrojów o elementach zakrzywionych. Nadto zeszyt zawiera wiadomości o pracy inżynierów polskich na obczyźnie i spis treści za okres 1958-1961.

Stefan Mękarski — Sowiecko-rosyjskie wpływy kulturalne w „Polsce ludowej”. Instytut Wschodni „Reduta” i Instytut Badania Zagadnień Krajowych, Londyn 1961. Str. 27 i 1 nl.

Wydany przez wymienione w nagłówku Instytuty tekst odczytu wygłoszonego po Walnym Zebraniu „Reduty” w dniu 30.9.1961. Źródłowy i bardzo szczegółowo opracowany przegląd obecnej sytuacji kulturalnej w Polsce. Zamieszczona na końcu broszury literatura przedmiotu zawiera 45 pozycji.

LONDYN — Informator praktyczny. Wyd. Taurus. Londyn 1961. Str. 26.

Bardzo starannie i pięknie wydana broszurka przez firmę Taurus, która w swym dorobku ma już takie wydawnictwa, jak Rocznik Polonii i przygotowywane WHO'S WHO polskie poza krajem. Broszurka ta przeznaczona jest dla przyjeżdżających z Polski rodaków i ma na celu ułatwić im zorientowanie się w wielkiej metropolii, zwiedzenie ważniejszych osobliwości miasta i odnalezienie polskich placówek, społeczno-kulturalnych, hoteli, sklepów itp. Nie pominięte zostały ważniejsze Polonica na terenie miasta oraz polskie kościoły. Do tekstu broszurki dołączone są dwa plany: śródmieścia z oznaczeniem ważniejszych osobliwości oraz plan linii kolejki podziemnej. Jest to narecznie przewodnik w języku polskim, który pomoże w poruszaniu się po Londynie oraz częściej przyjeżdżającym z Polski na zjazdy naukowe, studia uniwersyteckie, praktyki i wycieczki.

Szymon Szymonowicz — Aelinopean. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1962. Str. 57 i 3 nl.

To bibliofilskie wydawnictwo drukowane w dwóch kolorach na papierze czerpanym zawiera przekład wierszem z łaciny dokonany przez dr Wiesława Strzałkowskiego, 16 strof, antystrof i epodów przypisanych Janowi Zamoyskiemu przez autora „Sielanek”. W uczonym wstępie tłumacz przedstawia znaczenie tej „Pieśni żalostnej”, opierając się na obfitej bibliografii przedmiotu. Całość dopełnia rozprawka śp. prof. Józefa Andrzeja Teslarsa pt.: „Sylwetka Jana Zamoyskiego według współczesnej relacji angielskiej”. Złotka archaizowany przekład wiersza jest bardzo potoczny.

GAZETKA SZKOLNA. Polskie Stowarzyszenie Kombatantów. Nr 1/18. Londyn 1962. Str. 32.

Kolejny numer bogato ilustrowanego czasopisma dla młodzieży ze szkół przedmiotów ojczystych, zawierający utwory wierszem i prozą. Związane one są z rocznicą Konstytucji 3-maja i osobą Tadeusza Kościuszki. Większość zamieszczonych prac jest pórą samych uczniów i pochodzi nie tylko z W. Brytanii, ale również innych krajów polskiego osiedlenia. Omówione są w nim wszelkiego rodzaju przejawy życia młodzieży, jak sport, teatr, wycieczki itp. Szczególny nacisk położony jest na konkursy. Redaktorką pisma jest dr Zofia Kasprzycka.

(n)



## PRZEGLĄD SPORTOWY

## O TENISIE I WIOŚLARSTWIE

Na kortach wimbledońskich zapanała znowu cisza. Przez pełne dwa tygodnie około 295.000 osób przyglądało się najlepszym raketom świata. I jak zwykle stawiano na tygodnie naprzód horoskopy piórami najwybitniejszych znawców tenisa. Z horoskopów tych nie wiele się spełniło. Myślę tu o konkurencjach kobiecych, bo w męskich jeden był tylko tenisista klasy światowej, Australijczyk Rob Laver, który nie miał sobie równych. Stanowił on niewątpliwie klasę dla siebie i miał zwycięstwo w kieszeni.

Kapitałne były męskie półfinały w grach pojedynczych w których spotkała się rodzina Fraserów (bracia) z Laverem i 21-letnim nierozstawionym Mulliganem (Aust.). Klan Fraserów został wyeliminowany, przy czym R. Laver (Australia) pokonał N.A. Fräsera 10:8 6:1, 7:5. Mulligan natomiast pokonał swego współrodaka J.G. Fräsera 6:3, 6:2, 6:2. R-zstawianie zawodników rozpoczęło się w 1927 roku, Mulligan jest dopiero czwartym nierozstawionym zawodnikiem, któremu mimo to udało się wejść do finału. Przed nim podobną karierę zrobili: W. L. Allison (USA) w 1930 r., Duńczyk K. Nielsen w 1953 i 1955 r. oraz znany nam już Laver w 1959 r. Laver zaś znalazł się w finale po raz czwarty, wyrównując tym samym rekord sławnego Borotry (Francja) z 1927 r. który mimo swoich 60 lat wciąż jeszcze zapraszany jest na turniej wimbledoński, gdzie oczywiście żadnej poważniejszej roli nie jest już w stanie odegrać.

Jeśli chodzi o dr J.G. Fräsera to warto dodać, iż jest on lekarzem i najautentyczniejszym amatorem, który w czasie week-endów idzie na korty. Jeśli mimo to dostał się do półfinału to jest to sukces nielada. Cieszył się zresztą wielką popularnością wśród widzów.

I Laver i Mulligan (dodajmy, iż w półfinale było aż 4 Australijczyków) grali świetnie. Z przeciwnikiem swojej klasy Mulligan byłby z pewnością spotkanie wygrał. Cóż kiedy w tym dniu Laver był bezkonkurencyjny. Wylapywał nieprawdopodobne piłki w stylu rzadko spotykanym w ostatnich latach na Wimbledonie. Taką klasę reprezentowali kiedyś Jack Kramer w 1947 r. i Lew Hoad, gdy pokonał Ashley Coopera w 1957 r. Nie było piłki, której by nie potrafił wylapać, nie było ścieżki, którego by nie potrafił odbić. Jeśli istotnie Laver zdobyłby jeszcze mistrzostwo USA to nie tylko że pobije rekord Amerykanina J.D. Budge'a z 1938 r., lecz do rejestru mistrzostw dodałby jeszcze tytuł włoski, który w czasach Budge'a nie posiadał tej wagi co dzisiaj i którego Budge nie posiadał.

Tegoroczny turniej pań przejdzie z pewnością do historii. Choćby dlatego, iż nie spełniła się tu ani jedna wróżba speców. I tu — jak u panów — rozstawionych było 8 najlepszych zawodniczek świata. Na pierwszym miejscu Australijka Margaret Smith, która ledwo co zdążywszy wejść na kort i rozegrać pierwsze spotkanie już po godzinie schodziła z kortu z opuszczoną głową, przegrawszy sromotnie z nierozstawioną Amerykanką Miss Moffit

Gdy w półfinale pań znalazły się, Angielka Anne Haydon, 19-letnia Amerykanka Karen Hantze-Susman (mężatka o buzi przemiłego podlotka), 30-letnia Vera Sukowa (Czechosłowaczka) oraz popularna i zwinna jak gazela Brazylijka Maria Bueno — nikt nie miał wątpliwości, że w finale znajdzie się Bueno i Haydon lub Susman (Anglicy liczyli na Haydon). Haydon miała za sobą świetne zwycięstwo nad wspomnianą wyżej Moffit (USA) 6:3, 6:1 a Sukowa nad Amerykanką Hard 6:4, 6:3. Zwycięstwo Sukowej, jak w ogóle cała jej kariera na Wimbledonie, to była jedna wielka sensacja, tym bardziej że Sukowa nie była rozstawiona. Tymczasem Czeszka pokazała klasę, która zapewniła jej wielką sławę i popularność. Prawie że nie było wątpliwości, iż wygra w finale w którym znalazła się po przekonującym zwycięstwie nad Bueno. To była jeszcze jedna sensacja w konkurencjach kobiecych, tym samym odpadła trzecia rakieta rozstawiona w Wimbledonie (drugą rakieta była Miss Hard). Sukowa bowiem pokonała Bueno 6:4, 6:1 a Miss Susman pokonała Miss Haydon 8:6, 6:1. Miss Bueno nie była w tym dniu dysponowana — to nie ulegało wątpliwości. W dodatku wystąpiła w tym półfinałowym spotkaniu w różowych majteczkach które było widać w całej pełni ilekroć serwowała lub podskoczyła. Wywoływało to śmiechy na wi-

downi, co wyraźnie denerwowało Miss Bueno, która do końca meczu nie orientowała się, czym się publiczność tak cieszy. Sprawozdawca poważnego „Daily Telegraphu“ pisał, iż strój jaki nosiła Miss Bueno w pewnym stopniu przyczynił się do jej porażki. „Nie ulega wątpliwości, iż był to galowy strój na wielką okazję i nigdy niczego podobnego nie widziano jeszcze na Wimbledonie. Części garderoby pod sukienką były uderzającego koloru różowego i ilekroć Miss Bueno zaserwowała części tej garderoby ukazywały się jak ośniewający sztuczny ogień. I gdy widzowie ujrzeli po raz pierwszy te kolory — nawet na wpół ślepy człowiek musiałby je zauważyć — wybuchły śmiechy, co oczywiście nie ułatwiało Miss Bueno w koncentrowaniu się“ (czym zresztą dawała wyraz oglądając się raz po raz z pretensją w stronę publiczności).

Jakby nie było w tym spotkaniu Miss Bueno nie nie wychodziło (poza kolorową garderobą spod sukienki), zwłaszcza serwy i słusnie przegrała. Dla Sukowej natomiast powstała wielka i wyjątkowa szansa. Niestety — po meczu z Bueno potknęła się w hotelu i zwichnęła prawą nogę w kostce. Tajemnica była jednak skrzętnie ukrywana. Dopiero w finałowym spotkaniu z Miss Susman okazało się w drugim secie, że Sukowa raz po raz nieznacznie kuleje a chwilami nie była nawet w stanie pobiec za piłką. Z tą chwilą sytuacja była przesądzona i przemiła Susman zdecydowanie wygrała to najważniejsze w jej dotychczasowej karierze tenisowej spotkanie. Trzeba przyznać, że publiczność w tym wypadku stanęła za słabszą zawodniczką, to znaczy Sukową, nie szczędząc jej zachęty i oklasków. U Sukowej było napewno wiele dobrej woli, zwłaszcza po tak wspaniałych zwycięstwach w całym turnieju. W ostatnim jednak spotkaniu nie stąrczyło nieco ciężkawej, choć zawsze pogodnie walczącej zawodniczce czeskiej, tego przysłowiowego łutu szczęścia. Niemniej i wicemistrzostwem świata nie należy pogardzać.

Finały gry podwójnej panów: R. Hewitt i F. Stolle (Australia) — B. Jovanovic i N. Pilic (Jugosławia) 6:2, 5:7, 6:2, 6:4. Gra podwójna pań: Miss Moffit i Mrs. K. Hantze Susman (USA) — Mrs. Price i Miss Shuurman (Pld. Afryka) 5:7, 6:3, 7:5. Gra mieszana: N.A. Fräser (Australia) i Mrs. W. Du Pont (USA) — Ralston (USA) i Miss A.S. Haydon (Anglia) 2:6, 6:3, 13:11.

Pewne zgrzyty i pretensje do sędziów były na Wimbledonie, o czym pisałem obszerniej w poprzednim numerze „O. B.“. Nie obeszło się także bez zgrzytów na sławnych podlondyńskich regatach wioślarskich, w Henley, w których przed kilku laty brał udział jeden z najlepszych polskich skifistów (jedynka), bydgoszczanin Teodor Kocerka, zwyciężając w 1955 i 1956 r. Tym razem było o tyle gorzej, iż do niezmiernie przykrego incydentu doszło na tle startu innego polskiego skifisty, doskonale zapowiadającego się E. Kubiaka. Prasa brytyjska poświęciła temu incydentowi wiele miejsca. Jak wiadomo na sławnym torze Tamizy w Henley mogą startować tylko dwie łódzie, stąd zachodzi konieczność przeprowadzenia wielu eliminacji. W jednej z eliminacji mieli się spotkać dwaj rywale: S. A. Mackenzie (Australia), który w ostatnich 5 latach regularnie zdobywał piękną nagrodę w formie miniatury Diamentowych Wiosel i Kubiak (Polska), który niedawno pokonał Mackenzie na regatach w Gandawie. Stawka była więc dla obydwu zawodników poważna.

Mackenzie prowadził nieznacznie od startu. W pewnej chwili sędzia, jadący za zawodnikami na łodzi motorowej, ostrzegł Mackenziego, iż wjeżdża na tor Polaka. Podobno Mackenzie stałe zajeżdżał Polakowi drogę i był kilkakrotnie upominany. Później sędzia dwukrotnie napomniął Kubiaka, iż wjeżdża z kolei na tor Australijczyka. Po drugim napomnieniu nastąpiła dyskwalifikacja, albowiem Kubiak wjechał podobno na tor australijski i wysunął się na 300 m przed metą na jakieś trzy stopy przed swoim rywalem, jednocześnie lekko zawadził końcem swego wiosła (piórem) wiosło Mackenziego, który musiał na chwilę przerwać wiosłowanie, gdyż złapał „raka“.

Każdy wioślarz wie jak niebezpieczna jest to chwila, bo na jedynce zawod-

nik może się nawet wywrócić a w każdym razie musi na chwilę przerwać wiosłowanie, by doprowadzić łódź do równowagi.

Decyzja sędziego była dla Kubiaka napewno przykra, nie ulega wątpliwości. W dodatku nie ma od niej odwołania. Nie byłoby to jednakże takie nieszczeście, gdyby nie jakieś fatalne pomyłki popełniane przy ogłaszaniu decyzji. Najpierw ogłoszono, że Kubiak został zdyskwalifikowany, kilka sekund później ogłoszono, że nie Kubiak a Mackenzie czyli że wygrał Kubiak. Pół minuty później zmieniono poprzednią decyzję po raz trzeci, ogłaszając Mackenziego zwycięzcą z powodu dyskwalifikacji Kubiaka. Ten bałagan wywołał musiał oczywiście rozgoryczenie wśród Polaków, jak musiał wywołać zamieszanie wśród kompletnie zdezorientowanej publiczności. Co więcej — Polacy rozgoryczeni, stanęli w obronie Kubiaka i na znak protestu oświadczyli, że wycofują się z dalszych konkurencji a mianowicie że wycofują dwojkę w której mieli startować M. Siejkowski i K. Naskrecki.

Protest Polaków brzmiał: „W imieniu Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich, naszych osad oraz w imieniu własnym stanowczo protestuję przeciw decyzji arbitra. Incydent, który spowodował tę decyzję, zdarzył się na torze Kubiaka i dlatego nie było podstaw do jego dyskwalifikacji. Ta moja opinia jest podzielana przez większość publiczności jak również trenerów, kierowników ekip oraz innych zawodników. Decyzja o dyskwalifikacji Kubiaka spowodowała zmianę naszej opinii o bezstronności brytyjskich arbitrow (sędziów). Pragnę uniknąć aby nasza druga osada nie znalazła się w podobnej sytuacji zmuszony jestem wycofać naszą osadę na dwa długie w biegu o srebrny puchar“.

T. Kocerka

Zbyt pochopna decyzja kierownictwa polskiego, wywołała z kolei zdumienie wśród organizatorów regat. Słusznie przypominano, iż była to decyzja bez precedensu od 123 lat a więc jak długo trwają te sławne na cały świat regaty. Publiczność przyjęła decyzję milczeniem, jak milczeniem powitano parę angielską, która później samotnie (już bez konkurencji polskiej) przejechała tor, jak wreszcie milczeniem powitano Mackenziego, gdy w finale zwycięsko przejechał przez metę, zdobywając poraz szósty piękną nagrodę.

Naszym zdaniem decyzja kierownictwa polskiego szła za daleko. Można było mieć pretensje w sprawie Kubiaka, zgoda, nie było jednak podstaw do wycofywania drugiej załogi polskiej, zwłaszcza że wyprawa jej z Polski do Londynu była napewno kosztowna a okazja startu właśnie w Henley nie zdarza się codziennie. Start w Henley to nie mistrzostwa Europy czy świata. To wprawdzie wielkie spotkanie świetnych załóg z całego niemal świata, załóg klubowych a nie reprezentacji państwowych, stawka więc nie jest znowu tak wielka, by chcieć koniecznie wygrać, nie umiejąc jednocześnie godnie przegrać. Napewno Kubiak nie chciał rywalowi zajeżdżać toru, jak nie chciał tego Mackenzie. Wiosłowanie na jedynce to wielka sztuka i niezmiernie łatwo o lekkie odchylenie z toru. Wtedy sędzia musi albo ostrzec albo w jaskrawszym wypadku nawet zdyskwalifikować zawodnika czy załogę. Jeśli w ogłaszaniu wyniku popełniono pewne błędy, to właśnie należało stanąć ponownie na starcie i pokazać, po sportowemu, iż jest się lepszym a nie podejmować decyzji, nie bacząc na wspaniałą atmosferę w jakiej odbywają się regaty w Henley, drogi panie Teodorze, decyzji, która po pewnym czasie może się okazać bardziej kłopotliwą aniżeli słuszną.

(p.h.)

JAN OSTROWSKI

## „MAZOWSZE“ W „ALBERT HALLU“

Jak ten czas leci! Minęło już prawie pięć i pół lat od pierwszej wizyty w Londynie zespołu „polskich pieśni i tańców“, którego repertuar na płytach wszedł do wielu domów polskich w kraju i na emigracji. Drugim razem zespół przyjęto z niecierpliwym oczekiwaniem i zacięciem.

Na łamach tego pisma, które poświęciło „Mazowszu“ wiele życzliwych uwag podczas jego pierwszego, zimowego pobytu, nie potrzeba ponownie przedstawiać tego zespołu. Obecny pobyt potrwa trochę krócej, bo nie dwa bez mała miesiące, ale około 3-tygodni. To skrócenie pobytu łączy się niewątpliwie z faktem, że kierownictwo zespołu porwało się na chyba największą salę koncertowo-widowiskową, jaką jest Royal Albert Hall, mieszczący około 6.500 widzów. U świadomych rzeczy tuziemców decyzja ta budziła wiele trosk, gdyż wielokrotne wypełnienie tak potężnej sali jest zadaniem, którego dotychczas nie dokonało żadne widowisko. Pierwszy tydzień wskazuje, że jednak zadanie to „Mazowsze“ spełni w dużym stopniu, jeśli wziąć pod uwagę, że jednak przedstawienia tzw. „week-endowe“ są wysprzedane, a tylko w środku tygodnia widowiska jest do połowy zapełniona.

Sądząc po pierwszych reakcjach widzów z premierowego przedstawienia zespół jednak „potknął się“ u początku swego „sezonu londyńskiego“ o wielkie trudności, jakie przed wykonawcami stawia ten gigantyczny „okrągłak“. Brak sceny z właściwymi jej urządzeniami świetlnymi i dekoracyjnymi oraz fatalna „falowana“ akustyka, która dzieli poszczególne wycinki sali na „gluche“ i „dzwięczne“, na przemian się luzujące, co przy subtelniejszych efektach muzycznych, wokalnych lub instrumentalnych, jest dla słuchaczy bardzo uciążliwe. Niemniej dobrze się stało, że zespół się tymi trudnościami wstępnie nie zraził, poderwał się z miejsca i już na drugim, — z którego właściwie zdajemy sprawę — i następnych przedstawieniach, jak nam wiadomo, zaśliznął wszystkimi swymi zaletami. Fakty te znalazły zresztą odbicie w głosach prasy angielskiej na ogół bardzo przychylnych.

Choć prawie połowa członków zespołu jest nowa, i nie była w Londynie przed pięciu laty, „Mazowsze“ jako całość robi to samo z grubszą warstwą, co przedtem. W tej setce młodych dziewcząt i chłopców jest ekstrakt urody polskiej i polskiego wdzięku i animuszu. Znać na nim nieosłabioną rękę głównego kierownika Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej, zachowany został wysoki poziom artystyczny strony kostiumowej, o urzekającej kolorystyce, co jest bodaj wielką zasługą Ireny Dewitz, dobre układy tańców zespołowych, w tym programie główne dzieła Elwiry Kamińskiej, Eugeniusza Paplińskiego i Witolda Zapaty, który jako naczelny baletmistrz nadał całości to oszalałające tempo i jeszcze je podkreślił w swych własnych „Tańcach“ tatrzańskich. Melodie swe „Mazowsze“ nadal czerpie z ogromnego dorobku kompozycyjnego Tadeusza Sygietyńskiego, zmarłego twórcy tego zespołu. Obok rzeczy znanych, pieśni i tańców, są też dotychczas niespotykane i nieznanne.

Niesposób wchodzić w szczegóły obfito programu, zawierającego około 30 kompozycji tanecznych i pieśniarskich, chórnych. Półfinałowy „Krakowiak“ Kamińskiej wydaje się szczytowym momentem widowiska, pod względem nasycenia ruchu. Nazbyt blisko z nim sąsiaduje pomimo przerwy „Mazur“ ze

„Straszego Dworu“, który należy raczej zaliczyć do najsłabszych i w ogóle zbytecznych pokazów, zwłaszcza w tym zestawieniu.

Między tymi biegunami jest cała gama porywających oczy i serca oberków, jak np. „Opoczyński“ Paplińskiego, efektownych tańców z Biskupina Wielkopolskiego; jest też majestatyczny „Polonez Żywiecki“, pod którego koronkami schronił się „taniec naszych ojców i dziadów, który będą tańczyć nasze dzieci i wnuki“ — jak głosi tekst piosenki, — są oczywiście dziarskie „Krakowiaki“ i „Kujawiaki“, czy tańce rzeszowskie, kaszubskie, czy warmińskie i mazurskie. Obejmują duży szmat ziem polskich, jakkolwiek duży pozostał nieobjęty.

Zatrzymać się wypadało dłużej nad tańcami, gdyż one nadają główny ton obecnemu widowisku. Pieśni nie brak, ale jest ich mniej, niemniej pięknie wykonywanych, niż te, które śpiewano w poprzednim programie. Dwie piosenki angielskie znalazły bardzo mocne i wdzięczne echo u publiczności angielskiej, która dotychczas przeważała w widowiskach. Stosunek zapewne odwróci się i przeważać będą Polacy podczas końca tygodnia, w soboty i niedziele.

Po oddaniu tego „Mazowszu“ co „mazowszańskie“, trzeba chwileczkę zatrzymać się nad tym, co powszechnie polskie, co widzi polski dla siebie i dla obcych pragnąłby zobaczyć w polskim widowisku opartym o pieśń ludową i o wierny obyczaj ludowy, a nie tylko o jego stylizację, stylizację sceniczną, baletową, czy widowiskową, jakkolwiek ta stylizacja byłaby pod różnymi względami technicznymi, artystycznymi, czy nawet akrobatycznymi udana. Już przed pięć laty podniesiono z tych łamów głos, aby w nadaniu właściwego charakteru widowisku większy głos miał etnograf.

Od razu zastrzec się trzeba, że nie chodzi tu tylko o to, aby strzegł czystości widowiska, ale aby zapobiegał wkradaniu się naleciałości obcych. W widowisku stylizowanym są one zbędne, niewątpliwie, ale trzeba przyznać, że ich jest w ostatnim programie „Mazowsza“ stosunkowo niewiele. Skoki do przykleku w Oberku z zadartą do tyłu nogą, która miała w karczmie, czy izbie chłopskiej przelatywać nad głowami siedzących dookola na ławach widzów, czy współczesników pod ścianami, są zrozumiałe i uzasadnione. Ale wysrubowanie tych skoków w świeczkę pionową, jest akrobatyczną przesadą, której do przyszytu natrzymaliśmy się tu wszyscy na pokazach tancerzy rosyjskich, i która na polskim widowisku ludowym, nawet stylizowanym jest nie na miejscu. To sprawa wyczucia. Lub smaku. Przyśiadły naśladować jazdę na koniu, to nawet zabawny efekt dziecienny. Ale posuwanie w przykleku oberkowym na sposób gruziński w leżgnie, lub jak to w swoim czasie popisował się Lifer w czardaszu na scenie „Teatru Wielkiego“ w Warszawie, to oby wtę, który raczej psuje czystość polskiego stylu itd.

Decydujący udział choreografa w widowisku opartym na elementach ludowych powinien być rozumiany dużo głębiej i istotniej. Chodzi przecież nie o to, aby do obyczaju pieśniarskiego i tanecznego wnieść atmosferę sceniczną, baletową, czy koncertową, ale o to aby na scenę wnieść atmosferę napoty mistyczną zawartą w każdym obrzędzie niesfalszowanym, czy nim będą dożynki, czy tańce wiosenne na wzrost zbóż i płońów, czy tańce weselne i pieśni tej ceremonii towarzyszące, itd. „Mazowsze“ usiadło na rakiety leżąca ku wyżynom efektowności scenicznych, skąd nie ma powrotu do skupionego piękna, które wydawało tak ściśle z ziemią związaną życie wiejskie. Ten powrót będzie musiał nastąpić, jeśli ma się uratować coś z wielowiekowych, jeśli nie tysiącletnich tradycji etnicznych, które są właściwym dorobkiem kultury polskiej. Oby za jaskółkę takiego nieuniknionego powrotu można było uważać pojawienie się pierwszych tomów „Ludu“ Oskara Kolberga i towarzyszące mu ciche krzątanie się w terenie młodych etnografów, muzykologów i miłośników niesfalszowanego piękna polskiego.

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

JÓZEF GARLIŃSKI

## „MATKI I ŻONY“

już jest w sprzedaży dawno zapowiadana książka, która stanowi kontynuację porywających wyobraźnię opowiadań, zebranych w pierwszej książce tego samego autora pt. „Dramat i Opatrzność“.

Cena 18/6

Skład Główny: GRYF PUBLICATIONS LTD.  
171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W.11  
i we wszystkich księgarniach polskich.



## Współzależność ludzi wolnych

(Dokończenie z str. 1)

czy, któremu Sowiety, wbrew przeciwnym dążeń Chruszczowa, dorównać nie będą mogły.

Jest może rzeczą dziwną, że deklaracja prezydenta Kennedy'ego przyjęta była w zachodniej Europie, raczej powściągliwie. Międzynarodowy „Times” powitał ją z zadowoleniem, wymieniając, ile razy i kiedy premier Macmillan użył poprzednio słowa „współzależność”, myśląc zresztą głównie o stosunkach anglo-amerykańskich. Paryski „Le Monde” kładł nacisk nie tyle na słowo „współzależność”, co na słowo „równość” która winna istnieć między partnerami. O tę równość z Ameryką i z Anglią dobiega się, jak wiadomo, gen. de Gaulle.

Ponadto istnieje sprawa przystąpienia Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku i do politycznej wspólnoty europejskiej. Kennedy widzi Anglię, pełniącą rolę przywódczą w Europie. Prawdopodobnie Francja uważa, że rola ta jej się należy. Stany Zjednoczone nie chcą popierać narodowej, a więc francuskiej broni nuklearnej. Skłonni są natomiast poprzeć atomową broń europejską. Wbrew temu de Gaulle poświęca dalsze, poważne kredyty na swoją „siłę uderzeniową” oraz na zakłady atomowe w Pierrelatte i Chinon. Oto różnice w poglądach między Ameryką i Europą, które trzeba wyrównać.

**W**ŁASNIE odbyła się oficjalna wizyta kanclerza Adenauera we Francji. Przyjmowany on był z honorami należnymi głowie państwa, z całą pompą oficjalną i z nutą specjalnej serdeczności, której dodawał do uroczystości sam gen. de Gaulle. Z chwilą, gdy Francja wyplątała się nareszcie z matni algerskiej, gdzie obecnie toczą się pewnego rodzaju utarczki domowe i walki o granice z bratnimi sąsiadami arabskimi, nastąpił powrót Francji do czynnej polityki europejskiej. Francja chciała przede wszystkim pokazać, że jej partnerem w Europie, lub co najmniej pierwszym partnerem, nie jest już Anglia i nie są jeszcze Stany Zjednoczone. Partnerem tym są Niemcy Zachodnie. Trudno sobie wyobrazić, wymowniejszy symbol „pojednania” francusko-niemieckiego jak wspólną rewę wojsk francusko-niemieckich na krwią zroszonych polach bitew Szampanii przed prezydentem de Gaulle'm i kanclerzem Adenauerem oraz przed generałami francuskimi i niemieckimi. Wspólnie wysłuchana Msza przed obu przywódców Francji i Niemiec w katedrze w Rheims, dwukrotnie palonej przez Niemców, uświęciła pogodzenie się obu sąsiadów.

Przemawiając w pałacu Elizejskim do kanclerza Adenauera gen. de Gaulle, również z właściwym wycieczki historii, wywodził, że Francja i Niemcy usiłowały w ciągu wieków narzucić sobie wzajemnie swoje panowanie, aby tą drogą dojść do jedności Europy. Gen. de Gaulle wymienił tu Karola V, Ludwika XIV, Napoleona, Bismarcka, Wilhelma II i Clemen-

ceau oraz dodał do tej serii „ustrój ucisku zbrodniczego” Hitlera, który na swój sposób też dążył do zjednoczenia Europy.

„Cudem naszych czasów” nazwał gen. de Gaulle fakt, że po ostatniej wojnie Francuzi i Niemcy zrozumieli wreszcie wspólny interes. Obok nich stanęli Włosi, Holandia, Belgia i Luksemburg. Po wymienieniu malutkiego Luksemburga gen. de Gaulle wspominał i o Anglii, która, jak ma nadzieję, pewnego dnia (un jour) przyłączy się do sześciu państw. Ten „pewien dzień” raczej się oddala, gdyż w rozmowach Adenauera z de Gaulle'm ustalono, że przyjęcie Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku nastąpi dopiero po 1-ym stycznia 1964 roku. Rok 1963 wypełni formalności, związane z uzupełnieniem Traktatu Rzymskiego o Europejskiej Wspólnoty oraz ratyfikacje. W tym czasie jednak będą prowadzone przez szóstkę dalsze rozmowy na temat formy, jaką przybierze polityczna struktura Europy.

Reszta przemówienia gen. de Gaulle'a poświęcona była postaci kanclerza Adenauera, o którym prezydent Francji mówił z uznaniem, z podziwem i z sercem. Nic dziwnego, że kanclerz Adenauer był głęboko wzruszony, czemu dał wyraz w swej odpowiedzi. Wspominając Francuzów zasłużonych dokoła dzieła pojednania francusko-niemieckiego, wymienił byłego ministra spraw zagranicznych i byłego premiera, który dziś wycofał się z życia politycznego, Roberta Schumana, przywódcę francuskiej Chrześcijańskiej Demokracji. W 1950 roku rzucił on myśl utworzenia francusko-niemieckiego związku węgla i stali. Twierdził, że gdy węgiel i stal po obu stronach granicy francusko-niemieckiej będą „pod wspólnym zarządem”, wówczas wojna między obu sąsiadami stanie się niemożliwa. To dało początek Wspólnemu Rynkowi. Partnerami Schumana byli dwaj inni przywódcy Chrześcijańskiej Demokracji: w Niemczech — Adenauer, we Włoszech — de Gasperi. Przypuszczalnie należy, że za polityką tą stał Watykan.

**I**STOTA rzeczą była właściwie prosta. Główne bogactwa europejskie skupione są w obszarze Renu. Granica francusko-niemiecka dzieliła przez długi czas ten obszar na dwie części przynależne do wrogów. Zjednoczenie tego obszaru siłą lub układem pomnożyłoby potęgę i potencjał obu państw i Europy. Lecz tak zakorzenione było przekonanie, że dwa „odwieczni” wrogowie nigdy trwale nie pogodzą się, że nie przykładano w polityce międzynarodowej większego znaczenia do układów, które zawierał w imieniu Francji jeszcze Robert Schuman.

Zdumiewać może, że Anglia dopiero rok temu spostrzegła, że Europa zachodnia staje się wielką potęgą. Ale również Rosja Sowiecka nie orientowała się w niebezpieczeństwie, jakie jej grozi. Proroctwa Stalina o nieuniknionych wojnach na Zachodzie

zupełnie zamroczyły umysły chytrych polityków sowieckich z Chruszczowem na czele.

W komunikacie oficjalnym, wydanym w Paryżu po wizycie Adenauera, wspomniano z naciskiem o Berlinie i o konieczności zjednoczenia Niemiec. „Jedynym zjednoczeniem Niemiec w stanie powszechnego pokoju i na podstawie poszanowania praw narodów” zdoła zatrzeć zagadnienie Niemiec i Berlina.

Otóż tu leży istota rzeczy. Podział Niemiec jest tylko jednym z wyrazów podziału Europy. Znacznie większym wyrazem jest ujarzmienie narodów środkowo-europejskich. Sprawa europejska nie kończy się na Berlinie i na Odrze i Nysie. Nie wątpimy bowiem, że gdy w Paryżu mówi się o zjednoczeniu Niemiec, ma się na myśli zjednoczenie po Odrze i Nysę, jak powiedział kiedyś gen. de Gaulle. Z chwilą, gdy „pojednanie” francusko-niemieckie zaszło już tak daleko i przybrało już tak uchwytną formę ustalenia stosunku tego przymierza do spraw wschodnio-europejskich byłoby bardzo wskazany.

**P**ODCZAS gdy na zachodzie snuje się wielkie plany i rzuca myśl, gdy powstaje napewno nowy układ sił w ramach Przymierza Atlantyckiego, Stany Zjednoczone dokonały z powodzeniem wybuchu bomby wodorowej na dużej wysokości. Jest to osiągnięcie i historyczne z punktu widzenia naukowego. Ma również znaczenie polityczne i strategiczne. Świadczy, że Stany Zjednoczone pozostają największą potęgą świata.

R.P.

### POLSKI ROK SZKOLNY W EDYNBURGU

W Edynburgu zakończony został rok szkolny w polskiej Szkole Przedmiotów Ojczystych. Była to skromna, ale jakże wymowna i podniosła uroczystość w której poza dziećmi i nauczycielami wzięli udział rodzice z Komitetem Rodzicielskim na czele, oraz przedstawiciele polskich organizacji społecznych, którym dobro polskiej szkoły leży na sercu.

Ze złożonego sprawozdania przez kierownika szkoły, p. mgr. E. Michalskiego, zebrani dowiedzieli się, że w roku ubiegłym do szkoły polskiej uczęszczało 45 dzieci. Ale dowiedzieli się również, że jest to cyfra absolutnie nie zadawalająca, gdyż dobrze jest wiadomo, że do polskiej szkoły winno uczęszczać dziećmi dwu, a nawet trzykrotnie więcej. Podejmowane wielokrotnie akcje w kierunku nakłonienia rodziców do posyłania swych dzieci do polskiej szkoły, nie dały żadnego rezultatu. Kierownictwo szkoły i Komitet Rodzicielski natrafiły na jakiś zdecydowany, ale niczym nie uzasadniony opór małżeństw mieszanych, ale nawet, co jest już karygodne, małżeństw czysto polskich.

Bezpośrednio po zakończeniu uroczystości szkolnych odbyło się walne zebranie Komitetu Rodzicielskiego, na którym wybrano nowy zarząd Komitetu w następującym składzie: J. Nikosiewicz — przewodniczący, M. Boguszowa, B. Gabszewiczowa, K. Głęboka, M. Herbichowa, mgr. E. Michalski, L. Międzybrodzki, B. Górski i H. Gołabek.

W uchwalonym programie prac dla nowego zarządu przewidziane jest podjęcie ponownej akcji w celu nakłonienia rodziców do umożliwienia dzieciom poznania przedmiotów ojczystych.

(Sn)

### PARAFIA ŚW. ANDRZEJA BOBOLI

Dnia 23 czerwca br. odbyło się w sali parafialnej walne zebranie parafian po raz pierwszy we własnym lokalu. Do przedmowy zebranie powołało jednomyślnie mec. Adama Treszkę na asesora: panią W. Laskiewiczową i mjr. L. Skibińskiego oraz na sekretarza p. B. Szwagrzaka. Zebranie zagał proboszcz ks. mgr. K. Sołowiej, informując obecnych o dokonanych wysiłkach i licznych trudnościach związanych z nabyciem, przebudową i otwarciem Kościoła.

Inż. A. Klecki jako główny architekt przebudowy, zaznajomił zebranie z przebiegiem prac, z zagadnieniami architektonicznymi i planem budowy nowej nawy co powiększy pojemność Kościoła o 1/3. Następnie prezes Komitetu p. M. Piekarczyk złożył obszernie sprawozdanie za okres 2 1/2 letniej kadencji i omówił następujące sprawy: członkostwo parafii (obecnie 736 czynnych członków) apelując o dalsze i liczne zapisy, historię nabycia Kościoła oraz domu parafialnego. Wyniki finansowe za okres kadencji dały w przychodach £16.252 (z ofiar i składek) a w rozchodach £15.136 (wszystko na koszt przebudowy) oraz pozostałe saldo w banku £1.116. Całość dotychczasowych wydatków na zakup Kościoła i domu parafialnego oraz przebudowy wynosi £41.690 na reszcie więc zaciągnięto pożyczki (częściowo — oprocentowane) w sumie ponad 26 tysięcy funtów. Tak Duszpasterze jak i Komitet ufają, że przy Bożej pomocy i zwiększonej ofiarności rodaków, zobowiązania te z czasem będą w całości spłacone. Dary na rzecz Kościoła napływają nie tylko z Londynu ale choć drobne to obejmują prawie wszystkie części świata. Prezes podkreślił nieocenione zasługi ks. proboszcza oraz wielkie wysiłki inż. A. Kleckiego i całego Komitetu który bezinteresownie poświęcił swój talent i czas na rzecz Kościoła. Po omówieniu spraw związanych z życiem parafialnym oraz o organizacjach katolickich i szkółkach polskich na terenie parafii, p. M. Piekarczyk zakończył sprawozdanie składając wyrazy wdzięczności Duszpasterzom oraz całemu Komitetowi za ofiarną, społeczną i harmonijną współpracę dla dobra Kościoła i parafii polskiej w Londynie.

W imieniu komisji rewizyjnej, p. S. Sopicki przedstawił cyfrowe wyniki gospodarki finansowej i bilans na 14 czerwca, stawiając wniosek na udzielenie Komitetowi absolutorium z podziękowaniem. Dyskusja nad sprawozdaniem wykażała wielką życzliwość dla osiągnięć Komitetu i troskę o sprawy związane z Kościołem i życiem parafialnym. Walne zebranie uchwaliło jednomyślnie wnioski Komisji Rewizyjnej.

Wybory zaś dały następujące wyniki: wybrano przez akklamację na okres 2 lat do Komitetu; panie: Z. Arciszewska, M. Piotrowiczowa i Z. Salachowa oraz panów: T. Chachulskiego, M. Hampla, J. Kisielewskiego, A. Kleckiego, M. Piekarczyka, J. Prokopa, T. Putza, L. Skibińskiego, J. Stawarza, A. Stolarczyka i B. Szwagrzaka. Do Komisji Rewizyjnej: p. Janinę Kopańską, St. Kunicką i St. Sopickiego a na zastępców: p. H. Rydzewską i W. Witrylaka. Po omówieniu w wolnych wnioskach spraw związanych z rozszerzeniem życia parafialnego, zebranie zakończyło podziękowaniem dla przewodniczącego mec. A. Treszki za sprawne przeprowadzenie obrad oraz odśpiewaniem „sto lat” dla solenizanta ks. mgr. Jana Sponara, zastępcy proboszcza, cieszącego się wielką sympatią parafian.

Uczestnik

### WSZEKIE DUKI

wykonuje

**DRUKARNIA GRYF PRINTERS**  
171 Battersea Church Rd. S.W. 11

### KRONIKA TYGODNIA

3 lipca

Rosja wypuściła sputnika „Kosmos VI”

Władza w Algierze została przekazana rządowi Ben Chedy. Deklaracja de Gaulle'a stwierdziła, że Algieria jest państwem niepodległym.

ONZ przyjęło do swego grona 104 i 105 państwo, Ruandę i Urundi, były terytoria mandatowe belgijskie.

3 lipca

Gen. de Gaulle uroczystie uznał niepodległość Algierii w deklaracji, która kończy 132-letnie panowanie Francji w tej części ziemi afrykańskiej.

4 lipca

Prezydent Kennedy wezwał do stworzenia „konkretnej wspólnoty atlantyckiej między Stanami Zjednoczonymi a zjednoczoną Europą. Wezwanie to znajduje się w przemówieniu wygłoszonym z okazji Dnia Niepodległości, wygłoszonym w Filadelfii.

Władze szkolne w Coventry (Anglia) zawiesiły w prawach nauczania 39-letniego nauczyciela, będącego jednocześnie przywódcą Brytyjskiego Ruchu Narodowo-Socjalistycznego, Colin Jordana, którego wystąpienie w ub. niedzieli na Trafalgar Square w którym słał Hitlera i ideologię hitlerowską, było powodem do poważnych zaburzeń w śródmieściu Londynu.

5 lipca

W czasie obchodzenia niepodległości w Oranie algijskim doszło do strzelaniny w wyniku której zginęła ok. 100 muzułmanów i Europejczyków.

6 lipca

Stany Zjedn. zmniejszyły ograniczenia dla turystów sowieckich podróżujących po USA.

W rządzie zachodnio-niemieckim doszło do poważnego kryzysu wśród obecnej koalicji. Chrześcijańscy demokraci zamierzają rozejść się z liberałami i utworzyć nową koalicję rządową z socjalistami.

7 lipca

Z Pragi nadchodzą wiadomości, jakoby komunisty zamierzali usunąć przybydła do Londynu delegację parlamentarną na czele której stoi Z. Fierlinger. Wiadomość ta spotyka się z ostrzymi protestami ze strony czeskich uchodźców politycznych w W. Brytanii.

8 lipca

Władze związku zawodowego elektrotechników w Londynie wyrzuciły ze Związku oraz pozbawiły kierowniczej funkcji b. prezydenta Związku, Frank Foulkesa, za zdyskredytowanie dobrego imienia Związku. 63-letni Foulkes jest komunistą i miał platną posadę w Związku od 17 lat. Decyzja powyższa jest konsekwencją wyroku sądowego mocą którego Foulkes uznany został winnym za sfałszowanie wyborów do władz Związku.

9 lipca

Stany Zjedn. dokonały na wyspie Johnston na Pacyfiku wybuchu bomby atomowej o sile miliona TNT czyli 50 razy silniejszej od bomby którą w 1945 rzucono na Hiroszimę.

10 lipca

Chruszczow przemawiał na Światowym Kongresie Rozbrojenia w Moskwie i zaproponował, aby wojska amerykańskie, francuskie i angielskie opuściły zach. Berlin. Miałyby je natomiast zastąpić wojska Norwegii i Danii albo Belgii i Holandii oraz Polski i Czechosłowacji.

Za pośrednictwem satelity amerykańskiego „Telstar”, krążącego dookoła ziemi, z szybkością 18.000 mil na godzinę, przekazano obrazy telewizyjne ze Stanów Zjedn. do specjalnie wybudowanych stacji odbiorczych w W. Brytanii i Francji. W momencie odebrania zdjęć z USA i przekazywania do Europy satelita znajdował się mniej więcej w połowie drogi nad Atlantykiem i na wysokości 3.000 mil. W zasadzie transmisja udała się.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sz. 1/3. — we Francji NF 0.75. — w Austrii 1.60 Sch — w Belgii 1 fr. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 40 Grs. — we Włoszech 60 lir. — w Australii 1 lb. 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 rp.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. Brytanii: „Gryf” Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd. London, S.W. 11; miesięcznie 6/4 kwartalnie 16/6 rocznie £3.00. Zmiana adresu 1s. — W BELGII: miesięcznie frb 25; kwartalnie frb 75; M. J. Korab-Brzozowska-Csaky 116, rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać przelewem pocztowym: J. Korab-Brzozowska-Csaky nr 7315.20, podając swój dokładny adres. — FRANCJA: N.F.: kwart 8.00, półr 15.00 rocznie 28.00. Adm. „Syrena” 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Edit. ELKA-Paris 5507-30; „Li bella” Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Île Paris IV; konto poczt. Paris ce 566150. Francja północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale Lille (Nord), tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyński, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies. fl 2.00, kwart. 5.50, wpłacać przelewem poczt.: Fr. Ma Becki „Iulpenlaan 17, Lindenheuvel, Geleen (L.). — W NIEMCZECH: Stanisław Mikiciuk, (13b) München 45; Gablonzerstrasse 7/1. — W NORWEGII: koron: mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompani Post box 11, Oslo. — W PORTUGALII: kwart 35 esc., rocz 120; A. Zieliński Lisboa Central Caixa Postal Nr 110. — W SZWAJCARII: fr.sz. mies 2.00, kwart 5.50; Maria Wasung 6 rue des Lilas, Genève i Janusz Rakowski Mainaustr. 28, Zurich. — W SZWECJI: koron: mies 3.60, kwart 10, rocznie 36; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/11 Stockholm. — W WŁOSZACH: Irów: kwart 700; W Zahorski Associazione Combatt Po lacchi Via Licia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem pocztowym. — W ARGENTynie: prenumerata roczna \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polaca” Serrano 2076 Buenos Aires. — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00 rocznie \$8.00. — W AUSTRALII: „Vistula” (Australia) Pty Ltd Daking House Rawson Place Sydney; „Spolem” 64 Tapleys Hill Rd. Royal Park Adelaide S.A.; R. Gronowski 23 Clifton Str., Richmond E.1 Vic. kwart £1.00A rocznie £3.15.0A. — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf” London. — W P. I. AFRYCE: kwart 16/6 rocznie — 60/-; prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf” Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenumerata kwartalna: \$2.10 półroczna: \$4.00. Przedstawicielstwa: „Gryf Publications” W Riechowski 738 Hampton A. Schenectady N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave. Chicago 22 Ill.; „Księgarnia Ludowa” L. Zukowski 6347 Chene St., Detroit 11, Mich. USA; Polska Składnica Taniej Książki „Polinvalco” 2109 Robinwood Avenue, Toledo 2, Ohio

CENA OGŁOSZEN: za jeden cal przez jeden lam \$1.50, wzgl. 1 cm przez jeden lam 7.50 NF. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W. 11; Adm. „Syrena” 20 rue Legendre, Paris 17 tel. WAGRAM 0045; Carlton Berry Ltd Gr Buildings, Trafalgar Sq., London W C 2; lub Odra Press Ltd 20 Queens Gate Terrace S W 7 Tel. KNI 6855.

Nadestanych rekopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf” 171, Battersea Church Rd. London, S.W. 11. Tel. BATTERSEA 1445. We Francji: „Syrena” 20 rue Legendre, Paris 17 Tel. WAGRAM 0045. Konto pocztowe: Editions ELKA c.c. Paris 5507-30



# Leżę z kim piórem

Dodatek do numeru 28/1044 (740)

z dnia 12 lipca 1962

PAWEŁ ZAREMBA

## O FRYZJERACH I O SZTUCE PLOTKOWANIA

Melodia cichych i dyskretnych rozmów przy sąsiadnych fotelach miesza się przyjemnie z rytmem ostrych nożyc obiegających moją głowę. Zapach mydła, wody kolońskiej i kilkaset innych specyfików działa usypiająco. Fotel jest wygodny, zapewnia doskonałe oparcie karku i pozwala wyciągnąć nogi w błogim przekonaniu, że człowiek dostał się pod opiekę prawdziwego fachowca. Lustro pozwala podziwiać kształty własnej twarzy. Ta przyjemność jest zresztą teoretyczna w moim wypadku, gdyż po zdjęciu okularów widzę jedynie zamglone zarysy przyozdobione mocniejszym połyskiem miejsca, gdzie niegdyś były włosy a gdzie obecnie ulokowała się łysina.

Błogi nastrój zakłóca jedynie warkot puszczonej z nienacka w ruch maszynki do strzyżenia. Dawniej, gdy zapadałem w drzemkę w zakładzie fryzjerskim, maszynka wprawiała mnie w panikę. Natychmiast otwierałem usta i czekałem ze ściśniętym z przerażenia sercem aż świder dotknie nerwu w którymś z zębów. Tym radośniejsze bywało otrzeźwienie. Nie jestem przecież na fotelu dentystycznym, lecz u fryzjera.

Wiele hymnów pochwalnych i uczonych dzieł napisano o każdym bodaj zawodzie, uprawianym przez ludzi w celu oddawania usług innym ludziom. O zawodzie fryzjerskim napisano też nie mało. Pisali o nim z szacunkiem starożytni Grecy i Rzymianie. Szanował go jeszcze starożytniejszy Egipt, co wynioskować można z różnych niemniej starożytnych malowideł. Średniowiecze już nie szanowało lecz po prostu oddawało cześć potężnemu cechowi balwierzy. Nic dziwnego. Łączyli przecież w swym ręku umiejętność puszczania krwi, stawiania pijawek i wypędzania chorób przy pomocy bogatego zestawu ziół i maści, z zawodem golibrody i konstruktora przemyślnych fryzur i kuafur. Anglicy do dziś zachowali związek, przynajmniej tradycyjny, między tytułem mistrza fryzjerskiego i mistrza chirurgii, jako że oba wywodzą swój rodowód z tej samej organizacji cechowej.

Aż wreszcie pojawiła się w literaturze nieśmiertelna postać Figara, symbol i duma zawodu fryzjerskiego. Postać wyimaginowana, lecz przecież równie prawdziwa i żywa jak prawdziwą i żywą jest dla Anglika postać Falstaffa, dla Polaka postać Zagłoby, a dla Francuza postać Tartuffe'a. Cóż z tego, że każda z nich jest sylwetką narysowaną z myślą o karykaturze. Karykatura bliższa jest nieraz prawdy niż portret, bliższą jest na pewno niż fotografia. Właśnie dlatego, że podkreśla i wypukla cechy na prawdę typowe i ważne, usuwając z cień to wszystko co nie jest charakterystyczne; co znaleźć można na twarzy, w ruchach, w postępowaniu i w słowach każdego człowieka bez względu na wykonywany zawód lub zajmowane stanowisko.

Figaro uwieczniony został nie dlatego, że strzygł i golił, lecz dlatego, że reprezentował inną specjalność zawodu fryzjerskiego. Tą było zawsze, jest i pozostanie, zbieranie i rozprzestrzenianie informacji o bliźnich. W języku potocznym nazywa się to ploteczkami. W małym miasteczku fryzjer wie wszystko o wszystkim i o wszystkich. W dużym mieście wie wszystko o swych stałych klientach. Niekiedy są nimi sąsiedzi, często ludzie, którzy co prawda mieszkają lub pracują daleko od miejsca gdzie się strzygą, lecz przecież są bywalcami tych samych zakładów fryzjerskich a więc należą niejako do rodziny plotkujących. W każdej nadmorskiej miejscowości włoskiej, gdzie turysta goli się najwyżej kilka razy, fryzjer będzie o nim wiedział wszystko i natychmiast podzieli się spostrzeżeniami zarówno z krajowcami, którzy strzygą się u niego przez lata, jak i z następnym turystą, który jest także tylko klientem przygodnym. „Patron“ zakładu fryzjerskiego we Francji zna słabostki swych Klientów i szczegółliki ich życia rodzinnego, które chętnie podaje do wiadomości każdemu, kto jest ich ciekaw. W Anglii fryzjer jest najlepiej poinformowanym człowiekiem w sprawach sportu, szans tej lub innej drużyny piłki nożnej, wartości i możliwości koni biegających na torze w przyszłą niedzielę. A także psów z bieżni wyścigowych z totalizatorem, która to rozrywka, choć mniej wytworna jest przecież przedmiotem zainteresowania milionów ludzi.

Nazywać fryzjera w XX wieku źródłem informacji? W wieku prasy, radia i telewizji? W wieku, gdy wszystko co dzisiaj po południu się dzieje w Indonezji będzie jutro dobrze wiadome, opisane i skomentowane w Ameryce, w Australii, w Szwecji i w każdej z niezliczonych nowych republik afrykańskich? „Niezliczonych“ oczywiście dlatego, że ja się ich doliczyć nie mogę.

Tak. Podtrzymuję swe twierdzenie z całą stanowczością i gotów jestem poprzeć je dowodami.

Na przykład. Niejedna gazeta gotowa jest w sposób mniej lub więcej kurtuazyjny podać czytelnikom do wiadomości, że pan minister, pan burmistrz lub znany przemysłowiec to skończeni idioci. Lecz tylko u fryzjera można się dowiedzieć, że pan minister co wieczór popija w samotności zamiast ślepczeć nad dokumentami państwowymi, że



pan burmistrz usnuł sobie awanturkę z własną sekretarką i że przemysłowiec, na którego widok drży konkurencja, boi się jak ognia swojej żony.

Zadna gazeta tego nie napisze, lub jeśli napisze, to będzie już za późno. Za późno, co znaczy, że pan minister przestał już być ministrem, pana burmistrza nie wybrali na następną kadencję a przemysłowiec zbankrutował. Będzie za późno, gdyż informacja przestanie być ciekawa. Ciekawą zaś jest tylko ta plotka, którą podaje się sobie z ust do ust w najwyższej tajemnicy ciesząc się przeogromnie, że nikt o niej nie wie. Wie o niej rzecz jasna każdy, lecz przyjemność pozostaje. W tym leży siła plotki, jej czar i urok, nieprzewartościwalna słuchania plotek, powtarzania plotek i wymyślania plotek.

Aha, mamy cię! Wymyślania plotek. Wstrętne, obrzydliwe, szkodliwe i aspołeczne. Zgoda, zgoda, zgoda po stokroć, lecz przecież — powtarzam — gdyby plotka, każda plotka, była na sto procent prawdziwa, przestała by być plotką. Skutek? Nikt by się nią nie interesował.

Wartość i zasługa plotki polega nie na treści, lecz na sposobie jej podania. Gdyby literat pisał sucho i bez upiększeń przestał by być literatem i stałby się referentem w urzędzie statystycznym. Plotkowanie, nawet wymyślanie plotek, jest sztuką, której nie każdy może się oddawać. Jest i druga strona medalu i o niej także plotkarz utalentowany, plotkarz z powołania i z zamiłowania, pamiętać powinien. Mianowicie: plotkę powtórzyć można i należy temu tylko kto na to zasługuje.

Dlaczego nie można powtarzać plotek ludziom niegodnym? Dlatego, że są w nią gotowi uwierzyć bez zastrzeżeń. Wówczas przyjemność plotkowania spada do rzędu siania intryg, oszczerstw i tym podobnych paskudztw.

Klasyczny przedstawiciel zawodu fryzjerskiego tego błędu nie popełni. Wystarczy mu jeden rzut oka na klienta, by wiedzieć jak i o czym zabawić go rozmową, jakich plotek jest ciekawy, jakie przyjmie z uśmiechem a jakie w zgorzonym milczeniu. Przyglądałem się nieraz z najwyższym podziwem jak gadatliwy golibroda obsługiwał klienta w zupełnym milczeniu.

W wielu krajach zakłady fryzjerskie pyszną się nazwą „salonów“. Określenie nad wyraz szczęśliwe i trafne. Podkreśla bowiem obustronność przyjemnego plotkowania. Fryzjer nie jest agitatorom lub instruktorem: klient powinien brać równie jak on żywy udział w powstawaniu zabawnych, pół-prawdziwych pół-zmyślonych kawałów i anegdotek. Niestety, mężczyzna mało ma dziś do czynienia z fryzjerem. Strzyże się gdy musi, to znaczy gdy go żona gwałtem do fryzjera wygoni. Golenie odbywa się w domu — a widziałem ze zgrozą napisy w fryzjerniach londyńskich oznajmiające bezczelnie: „Sorry, no shaving today“. „Przepraszamy, nie golimy dzisiaj“. Dzisiaj — to znaczy nigdy.

W lepszym, w o ileż lepszym położeniu są kobiety. Po pierwsze czas spędzany u fryzjera liczy się nie na minuty lecz na długie godziny. Po wtóre

charakter operacji upiększającej wymaga współudziału kilku fachowców i fachowczyń. Wreszcie, wieczna ondulacja jest zajęciem gromadnym, zbiórka towarzyską na którą przyjaciółki skrzykują się z dwóch krańców miasta. Zasięg plotek i przede wszystkim ich wartość, ich piękno, nie mają sobie równych. Panie nie marnują czasu na rozmowy o polityce i politykach, o psich wyścigach i o piłce nożnej. Mówią o rzeczach konkretnych, rzeczowych, ciekawych i pikantnych. Z kim Zuzia, i za kogo Lola, i dlaczego Basia, oraz co robi Janek, Władek i Romek.

Fryzjernie wszelkiego rodzaju, typu, i gatunku to instytucja międzynarodowa. Taka sama w każdym kraju. Czyżby? Pozornie na pewno tak jest. Gdzie nie wejdiesz znajdziesz te same maszyny do strzyżenia, brzytwy, kosmetyki, lustra, fotele, neony nad drzwiami i przyjemnie uśmiechniętą kasjerkę u wyjścia.

Lecz oto zadumę przerywa mi lekko ironiczne pytanie: Któż Pana szanownego strzygł ostatni raz...? Bo jakoś dawno nie mieliśmy przyjemności...

— Byłem za granicą, w Szwajcarii...

— Aha,...

Ileż treści mieści się w tym „aha“.

— Szwajcarzy to genialni zegarmistrze — dodaje z uśmiechem mój londyński John.

Czy można ładniej wyrazić pogardę dla zagranicznego konkurenta?

Paweł Zaremba

---

---

CZESŁAW DOBEK

## BANK PANA MONDRASZKA

**M**ONDRASZEK trzyma pieniądze pod dywanem. Jest to tajemnica, o której wie tylko pani Mondraszkowa.

— Bój się Boga Mondraszku, na co nas wszystkich narażasz!

Mondraszek patrzy na żonę z litością.

— Co dzień w gazetach czytam — biadoli pani — ktoś kogoś obrabował. Każdego piątku to w tym to w tamtym banku.

— Widzisz — wykrzykuje Mondraszek — na banki napadają, na banki.

Ale Mondraszek wkłada swe funty pod dywan w „sitingrumie“ wcale nie dlatego żeby nie wierzył bankom, albo uważał je za mało bezpieczne schronienie. Tu chodzi zupełnie o co innego. O inspektora „Income Tax“. Pan Mondraszek zbiera pieniądze w gotówce. Nie przyjmuje czeków nawet od lokatorów. I nie wypisuje czeków. Nic na papierze — to zasada finansowa, której się trzyma od lat. Nic na raty, bo trzeba podpisywać umowę. Nic przez adwokata, który może być w zмовie z inspektorem.

Pan Mondraszek, owszem, składa zeznanie podatkowe rokrocznie. Wypisuje dochody sumiennie



z domu, z warsztatu, zarobki swoje i żony. Ale razem tego nie wiele, tyle aby zrównoważyło „allowance“ na Building Society, na ubezpieczenie, na rodzinę w Kraju, na reperację domu i tak dalej, aż w końcu biedny „income-tax“, otrzymuje równe zero.

Gdyby wszyscy stosowali metodę pana Mondraszka, rząd zwolniłby inspektorów i panienki pijące herbatę w biurach, formularzami paliłby w piecach elektrowni atomowych i żyłby z pieniędzy zaoszczędzonych na znaczkach pocztowych.

A obywatele szczęśliwi byłiby na równi z poddawanymi Grace Kelly.

Metoda pana Mondraszka miała więc logikę i przyszłość. Niestety nie znajdowała zrozumienia u pani Mondraszkowej. Jak to zawsze z kobietami, żona nie doceniała męża.

— Mondziu ja się boję! — to zdanie powtarzała pani Mondraszkowa w kółko, w dzień i w nocy.

— Czego się boisz? Zamki mamy nowoczesne, ściany grube, pies Lalka szczeka; nie ma prawa nic się stać.

— Zobaczysz, pewnego dnia przyjdą. Tak jak do tych zegarmistrzów. Przecież tyle jest ich...

— Kogo?

— No różnych Haigh'ów, Christie'ch, Hanraty'ch...

— Mówiłem ci Docia — tłumaczył mąż z wrodzoną łagodnością — że oni polują tylko na pewne. A skąd taki bandyta może wiedzieć, że ja trzymam gotówkę w domu?

— A lokatorzy? Wśród rodaków też się czasem znajdzie renegata.

— Lokatorów swoich to ja znam jak własną dłoń. Co kto mówi, gdzie kto pije, z kim się zadaje, czy ma metrykę ślubną czy na kocia łapę żyje, wiem nawet kto przez sen krzyczy.

Pan Mondraszek był pewny siebie. I lata mijaly.

Lokatorzy zmieniali się, dom porastał zaciekami, furtka od frontu zdziewiała, biust pani Doci rósł... Pan Mondraszek trzymał funty pod dywanem w „sitingrumie“ i nic się nie działo.

Tylko te nerwy, te nerwy pani Mondraszkowej. Po nocy się zrywała nad słuchując trwożnie. Wieczorem sprawdzała łańcuch i zatrask, Lalce pozwalała na spanie na fotelu tuż przy skarbie pod dywanem, na lokatorów rzucała najczarniejsze po dejrzenia.

Wiadomo było, że nie wytrzyma, że pewnego dnia coś wyczyni. Ale pan Mondraszek jak wszystkie mondraszki nie dostrzegał spraw najistotniejszych. Zaskoczony był więc kiedy w marcu pewnego wieczoru dostał od żony telefon do pracowni.

— Mondziu... — łkanie kapało do słuchawki — Mondziu... Tragedia...

— Co się stało? Lalka zdechła?

— Złodzieje...

Pan Mondraszek jak kierownik straży ogniowej rzucił się w wir działania. Swym „vanem“ przejechał w ciągu kilku minut zrabując co sto jardów.

Dzwi zastał rozwarte szeroko. Zamek wyłamany. W korytarzu stał policjant.

— Mister Mondrashek?

— Ja. Mister Mondrashek me.

Na górze buszował inspektor. W hallu zgromadzili się lokatorzy.

Policja badała ślady, dotykała palcami poprzewracanych mebli, szukała odcisków palców na wazonach i skorupach popielniczki, przeszukiwała lokatorów.

Najwięcej zajął inspektora wyłamany zamek Yale.

— Partacka robota amatora — powiedział — żaden ze znanych mi włamywaczy nie zniżyłby się do takiej fuszerki.

— Mister Mondrashek, co pan powie o swoich lokatorach?

— Well...

— Rozumiem — nadął się policjant — nie chce pan nikogo oskarżać. Uważam panie Mondraszek, że to robota od wewnątrz. Zamek wyłamano, aby odwrócić uwagę. A teraz proszę powiedzieć co panu zginęło?

Najwięcej zniszczony był „sitingrum“. Fotele przewrócone, wielki wazon rozbity, kwiaty na podłodze, książki z półki wyciągnięte i rzucone na dywan.

Dywan nietknięty. Pan Mondraszek stał jak wbity na jednym z rogów dywanu i nie ruszał się z miejsca.

— Co panu zginęło?

— Właściwie to nic... Nic nie widzę... Docia?

Pani Mondraszkowa odjęła chustkę od oczu i westchnęła.

— Zegar jest, pudełko z pierścionkami jest...

— A więc nic nie zginęło?

Milczenie odpowiedziało inspektorowi.

— Rozumiem. Nie możecie państwo powiedzieć bez dokładnego zbadania stanu swych ruchomości. Mister Mondrashek proszę więc przejrzeć swę rzecz i dać nam znać na policję. O ile panu na prawdę nic nie zginęło, to właściwie moje dochodzenie do niczego nie doprowadzi. Byłaby to mister Mondrashek robota jakiegoś dowcipnisa.

— Ładny dowcip — powiedział Mondraszek patrząc na rozbity wazon.

— Nie znam się na zwyczajach cudzoziemskich, ale wydaje mi się, że nie wykluczone byłoby...

Kiedy policja wreszcie wyszła razem z dowodami rzeczowymi w postaci kolekcji odcisków palców pana i pani i gości z ostatniego tygodnia, pan Mondraszek rzucił się pod dywan.

Pod rogiem leżały ułożone równiutko nietknięte nowe błyszczące banknoty funtowe.

— Nietknięte — krzychał Mondraszek — nie ruszono.

— Mmusiał ktoś ich spłoszyć — powiedziała pani Docia w chusteczkę od nosa.

— Kogo? Nikt ich nie ruszył, nie dotknął. Są tak samo jak były, nie przesunięte.

— Widzisz jednak — głos pani Mondraszkowej jakoś wzmocił się i nabrał powagi — że nie można trzymać pieniędzy w domu pod dywanem.

(Dokończenie na str. 7)



Parę mil za Audley przejeżdżamy granicę Cheshire. Zaczynam półzartem rozglądać się po przydrożnych drzewach: czy aby nie ujrzę gdzieś znikającego kota i trwalszego odeń uśmiechu: — „kota z Cheshire“, przyjaciela Alicji.

Wśród drogi znajdujemy rozwiązanie zagadki kota i uśmiechu: Jest z nim tak prawie jak z tułaczem, znakomitym serem. Gdy się doń ktoś dobierze, ser prędko znika, a pozostaje uśmiech — na wargach smakosza...

Tymczasem dojeżdżamy do Chester — jedyne miasto w Anglii — a jednego z paru na Wyspach Brytyjskich — z nienaruszonymi murami obronnymi. Takie angielskie Carcassonne, czy Avila.

Tyle że mniej tu teatralności, brak piętrzących się, jedna nad drugą wież, mury niższe, a bramy zupełnie spaskudzone przez wiktoriańskich architektów z pod ciemnej gwiazdy.

— Tak, ale pamiętaj że w zamian część murów jest rzymska, a wreszcie nie łatwo odróżnisz który kamień przyniósł tu legionista a który średnio-wieczny majster.

Wnętrze murów — Stare Miasto — dziwi, trochę onieśmiela. Domy o bogato rzeźbionych frontach z XVI i XVII wieku, zaopatrzone w słynne chodniki na wysokości pierwszego piętra, gdzie druga linia sklepów rozpanoszyła się ponad niższą, przyuliczną.

Tuż za murami, obok śladów rzymskiego amfiteatru, romański kościół św. Jana Chrzciciela. Niedługo — przelotnie — katedra, a potem kolegiata. Romańskość nawy głównej jest niemal przykładowa — jakby wyjęta z podręcznika historii stylów architektonicznych. Masywność filarów i solidna potęga łuków łagodnieje, smukleje dopiero na wysokości empor.

Na dziejach kościoła czerni się jedna, niezawiniona zresztą przezeń plama: To stąd właśnie żołdak z armii parlamentu strzelił do Karola I przyglądającego się z wysokości katedralnej wieży, kłesząc swych wojsk za murami miasta. Żołdak chybił zresztą powalając stojącego obok króla oficera. Nie dane było widać nieszczęśliwemu Stuartowi znaleźć śmierć w wiernym mu i oddanym mieście.

Skupiony mrok i prostota kościoła św. Jana jest jakby przygotowaniem do wyniosłej koronkowości katedry — niegdyś, przez wieki, opactwa. I katedra oczywiście ma romańskie początki a nawet liczne fragmenty (jak choćby cały północny transept), ale giną one w wielkich przestrzeniach światła chwytanego w misterną sieć ostrołuków.

Dawny, klasztorny charakter świątyni jest jednak w wielu miejscach pięknie do dziś widoczny: przypominają o nim przestronne, lekkie krużganki i przyległe do nich sale: dawny refektarz, kapitułarz i rozmównica.

Sala sądu konsystorskiego mieści się u stóp południowo-zachodniej wieży. Używana do dziś, zachowała surowe umeblowanie okresu wczesnych Stuartów.

Alte najdłużej zatrzymują przy sobie, najwięcej zainteresowania budzą stalle. Wykonane w ostatniej ćwierci czternastego wieku są snycerskim ar-

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

## MIASTO CHESTER — JEDNOROŻ

cydzielem łączącym w jedną wzruszającą całość dojrzałe piękno form, naiwny urok, fantastyczność, wzniosłość, humor. Wiele tu ilustracji do bestiarjuszy:

Jedno z siedzeń-mizerykordii objaśnia jak polować na jednorożca. O zarozumiała, uboga mądrości naszego wieku! Dziś o jednorożcu wiemy tyle tylko że nie istniał. W Średniowieczu znano dokładnie, zdumiewająco szczegółowo jego obyczaje. Tak był ponoć silny, zręczny i dziki, że próby schwywania go nieodmiennie zawodziły. Miał jednak ów szlachetny zwierz słabość — wspólną z niejednym rycerzem — słabość do dziewic. Gdy jakąś napotkał, kładł jej łagodnie, jak baranek, łeb na kolanach, czy raczej — aby być ścisłym — na łonie i zapominając o świecie bożym stawał się łatwym łupem ukrytych w pobliżu łowców.

Morał w tym jasny, zilustrowany bardzo realistycznie przez średniowiecznego rzeźbiarza. — Przy tym dziewica ma twarz wiedźmy — I słusznie. Artysta chciał przecież pokazać jej prawdziwy, podstępny charakter, a nie zewnętrzne, urzekające pozory.

Jeszcze bardziej przekonująco wygląda polowanie na małe tygrysięta. Jak wiadomo każdemu czytelnikowi „Zwierzyńców“ jest to polowanie z lustrami. Jeździec porywa małego tygrysa z gniazda i ucieka co sił, a gdy rozwścieczona matka już go ma dopaść rzuca jej pod nogi specjalnie w tym celu wieszone, okrągłe lustro. Tygrysyca bierze własne w nim odbicie za swe utracone dziecko i pięści go czule, co daje myśliwemu czas na bezpieczną ucieczkę.

Na innej mizerykordii Tristan i Izolda spotykają się pod drzewem, u źródła, które przestrzega odbiciem o czyhającym na nich w gęstwinie królu Marku. Snycerz nie zapomniał też wyposażać Izoldy w pieską — małą, ciekawą bestię płatającą się u stóp kochanków.

Już na odchodnym zauważamy na poręczy jednej z ławek wielkoluda o łagodnej twarzy, grającego — trochę niezdarne i śmiesznie — na miniaturowych skrzypech. Jest w tym jakby symbol Średniowiecza: toporny z pozoru olbrzym snujący drobny i kruchy — jak melodia szkrzypiec — wątek piękna.

### BERNARD CASTLE

Dzień wczorajszy upłynął bardzo różnorodnie:

Krótką wizyta w marchesterskiej galerii, tyle tylko by spotkać kilku znajomych: Mateo di Giovanni Sienneńczyka, z którym zaprzyjaźniliśmy się tak stosunkowo niedawno, a który przecież czekał na naszą czułość przez pół tysiąclecia. Domenico Fetti i jego „Aktora“, wreszcie flamadzkiego anonimowego zwanego Mistrzem Legendy Magdaleny i jego „Dziewicę z dzieciątkiem“ — uosobienie ciszy. Postój w Bolton Abbey — szlachetność ruin wpi-



## ŻEC — KOT IMIENIEM TOM

sana w pastoralne piękno krajobrazu. Wreszcie wrzosowiska. Zapach wieczności.

Dziś ze wszystkich zajęć pierwszym i najważniejszym jest wizyta u Toma. By wyjaśnić jej znaczenie potrzebne jest parę słów komentarza. Mój towarzysz z zawodu inżynier, pracował tu do niedawna przy budowie stacji filtrów. Miejsce gdzie prowadzono roboty, odległe od miasta i wiosek, pół zatopione w gliniastym błocie, u brzegu wrzosowisk, wydane jest wichurze i deszczom.

I oto któregoś dnia w baraku zajmowanym przez inżynierów zjawił się kłębek burej puszystości: bezpańskie kocię. Nazwano go Tom. Przybysz zaadaptował mego przyjaciela prędko i bezwzględnie. Regularne dostarczanie jedzenia, oszczędna lecz sprawiedliwa doza pieszczoł, obrzędowe niemal czesanie długich kudłów, wożenie do weterynarza po niespokojnych nocnych wyprawach — nie wiadomo: łowieckich czy miłosnych, z których kot wracał z pocharatanymi uszami — wszystko to stało się obowiązkiem i przywilejem Janusza.

Od tego czasu listy z północy pełne były Toma: że podnosi łapę, gdy czegoś chce — jak lew św. Hieronima, że zawsze odpowiada na zadane pytania cichutkim miauknięciem, że rozłożone plany budowy są jego ulubionym miejscem popołudniowej drzemki, że ma bardzo dobry charakter wynikający z lenistwa...

Gdy Janusza przeniesiono w inne strony Anglii, rozstanie stało się nieuniknione. Kot został pod dobrze zorganizowaną opieką, nie przeczuwając być może niepewności swego losu: zbliżającego się kresu robót.

Łatwo więc pojąć że wizyta u Toma niepoślednią odgrywała rolę w obecnej wyprawie: po części udowodnienie, że rozstanie nie było przecież ostateczne, po części zaś potrzeba powzięcia decyzji co do przyszłości.

Od paru dni nie widziałem Toma. Ani na rybie nie przychodził, ani na mleko. Tom! Tom! Tom! — woła, krążąc wokół baraków — Sami widzicie, nie ma go — dodaje — wyszedłby przecież z jakiejś dziury, gdyby gdzieś tu był.

— Tom! — mówi Janusz — Tom! — powtarza z odrobiną nieuzasadnionego wyrzutu w głosie.

— Miau! — odpowiada Tom, nagle, niewiadomo skąd obecny, ocierając się o nogi i wykonując ogonem powitalne gesty.

Janusz jest wrogiem sentymentalizmu. Głaszcze kota ale powiada:

— Przyszedł bo jest głodny, pamięta że zawsze coś odemnie dostawał.

Otwieramy więc puszkę Kit-kat'a. Ale Tom! nie zwraca na nią uwagi. Łasi się dalej, mizdrzy i pomiauka co chwila.

— Ależ ty wyglądasz! Nikt cię tu widać nie czesze, gdy mnie nie ma. — powiada Janusz i, wyciągając ze znajomego zakamarka żółty, szczerbaty

grzebień, bierze się do rozczesywania nastroszonych kudłów, pozlepianych kosmyków, kołtunów.

Po kilku długich, bolesnych chwilach Tom znowu „podobny jest do kota“ i rozsiada się wygodnie w koszyku z urzędowymi papierami. Los jego został zdaje się zdecydowany.

— Nawet nie wiesz Tom, że cię pewnie czeka podróż na południe!

Cichutkie miauknięcie i kilka przychylnych ruchów ogona. — Tom się zgadza!

\* \* \*

O kilka mil na wschód od Bernard Castle, w dół rzeki Tees przykucnęła wśród pół wioska Wycliffe. Idziemy tam na piechotę, wzdłuż niespokojnego, ciemnego nurtu, rwącego doliną między groźnymi skałami wyciosanymi przez czas i żywioły w regularne bryły. Ujście rzeki Grety do Tees, gmatwanina głazów, szumu, piany i zieleni wygląda jak romantyczna akwarela, która, znudzona złoconymi ramkami zbiegła w rzeczywistość.

Kościółek w Wycliffe, trzynastowieczny w swym zrzebie, dobrze strawił liczne uzupełnienia i przeróbki. W jego murach, na zewnątrz, kamienne płyty nagrobków. W lancetach okien naiwnie urocze, wczesne witraże. Ruszając na długą łąkę wśród wąwozów, stróg i wzgórz oglądam się po raz ostatni na kościółek i wioskę. Artysta który chciałby wyrzeźbić „spokój“ nie znalazłby lepszych na wyrażenie go kształtów jak te kilka ciepło-szarych brył. Jeśli kiedyś szukać będę miejsca gdzie cisza podobna jest do uśmiechu to chyba wrócić mi tu przyjdzie.

## WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

### NATURA

Córeczce mej Marysi

Lasy woniejące igliwem, co pod nogami szeleści,  
Kolumny sosen rosnące popod zieloną kopułą,  
Pnie mężnie w niebo się pnące pełne żywicznej treści  
I szmery cichych gałęzi, co w pieśń się splatają czułą...  
Popod drzewami mchy srebrne wśród rozwidlonych korzeni,  
Strumyki cicho szemrzące wśród torfu czarnych pokładów,  
Orzeźwiająca świeżość idąca od mokrej ziemi  
I zapach ożywczy liści, grzybów, borówek i jagód...  
Las życiem żyje tajemnym i ziemię z niebem łączy  
Koroną dębów prastarych, rzeźbioną z szczerego złota,  
W ziemię wrastając pedami korzeni mocnych i pnących  
I glebę żyzną objawszy w uścisków swoich opłotach.  
Pod niebo wznosi się żywioł z natury swojej zielony,  
Musuje i szumi życiem w bujności swej niepojętym;  
Nad lasem niebo modre i chmurki jak strzępy opony  
Albo białe baranki po łąkach rozbiegnięte.  
Tu niebo błękitem szczerdym na złote zboża się kładzie  
Jakdyby szata królewska leżąca na złotym tronie,  
Tam słońce kaskadą blasków i w światel wodosпадzie  
Nurza się w toni błękitu i chłodzi pałace skronie...  
Potem gdy noc nadejdzie, tysiące światel wytryska  
Gdzieś z granatowej głębi jak fantastyczne lampiony  
Jakgdyby ognie światów zapalił dla widowiska  
Przyrodzie całej Artysta wizją najwyższą natchniony.



# W RESTAURACJI

## WIZJA MAKABRYCZNA

Po prawej lada z potrawami, kasa i na wprost sala z kilkunastu osobami. Światło ze szklanego dachu koncentruje się na parze z dzieckiem. Dziecko jest tłuste i jasnowłose jak jego matka, wielka o wulgarniej twarzy. Mężczyzna mały szczupły, o twarzy przestępcy, młodszy od kobiety.

Ona: Widzisz tego faceta, który się na mnie patrzy. Podobam mu się.

On: Patrzy na dziecko nie na ciebie.

Ona: Mylisz się. Znam spojrzenia męskie. On by się ze mną przespał. Ciekawe ile by dał?

On: Nie lubię tego słuchać.

Ona: Sześć, więcej nie da. Zrobiłabym to jedynie dla naszego dziecka. Chociaż... aby odświeżyć wspomnienia gdy byłam panną.

On: Przestań. Ciekawe co będzie z naszego syna?

Ona: Będzie aktorem. Tak postanowiłam.

Syn: Mam najpiękniejszą matkę na świecie. A jej przyjaciel też niczego sobie. Jak tu pięknie. Wszyscy patrzą na mnie. Trzeba coś zrobić by im sprawić przyjemność. **GWAŁTOWNIE ROŚNIE, STAJE SIĘ PIĘKNYM MŁODZIEŃCEM.**

Ona: Gdzie idziesz synu?

On: Gdzie idziesz synku?

Syn: Będę grał dziś Szekspira. Czuję jak bije mi serce do Desdemony. Idę!

Przez salę przesuwa się jedna z podających przy bufecie, staje przez Synem i mówi: — Otello Kocham cię!

Syn: Byłaś mi niewierna. Moja matka była też niewierna, od Ewy poczynając, jesteście niewierne. Umierając nie będziesz mogła więcej mnie zdradzać.

Desdemona: Jestem niewinna. Tylko ciebie Kocham. Zapytaj rodziców, oni wiedzą najlepiej.

Syn: Kłamiesz. **DUSI JĄ.**

Ona: (Z małym dzieckiem na rękach). — Jesteś zazdrosny, odchodzę. Zabieram dziecko!

On: Nie odchodź. A jeżeli musisz tak zrobić to wróć. Zawsze czekam na ciebie.

Ona odchodzi.

On: Miała szczęście, gdyby nie odeszła udusiłbym ją. Ale dlaczego odeszła, czy tylko dla tego, że nie mam pieniędzy?

On: Desdemono!

Desdemona: Czego chcesz ode mnie. Przecież masz żonę i dziecko. Chociaż podobasz mi się.

On: Ona odeszła. Ty zajmij jej miejsce. Nie jesteś chyba tak chciwa na pieniądze jak ona?

Desdemona: Dobrze, będę twoją, ale tylko dopóki nie dorośnie twój syn.

On: Podaj mi swą cudną łabędzią szyję.

Desdemona: O Boże, jestem niewinna. Nie duś mnie!

**POJAWIA SIĘ W PRZEJŚCIU, MIĘDZY STOLIKAMI — SYN.**

Syn: Ojcie, co robisz?

Desdemona: Dobrze, że przyszedłeś. Twój ojciec chciał mnie zadusić.

Syn: Ja zawsze przychodzę w porę Desdemono, bo cię Kocham nad życie.

Ona: Synu porzucasz mnie dla innej kobiety. Nie ma nad miłość matki.

Syn: Ciebie zawsze Kocham. A to miłostka jakich wiele. Ona mnie zdradza, wiem o tym, zabiję ją.

Ona: Zabijać nie wolno nawet węża. Krew plami sumienie.

Syn: Desdemono, pragnę cię, chodź!

Desdemona: I ja cię pragnę. Wszystko oddałam ci, bierz i życie. Po śmierci będę już tylko twoją.

Syn: Matka zakazała mi zabijać nawet węża, ale kobiety gorsze od węży. **DUSI JĄ.**

Ona: Wróciłam, tylko ciebie Kocham!

On: Dobrze żeś wróciła. Mam dla ciebie pieniądze, przez które odeszłaś ode mnie.

Ona: Nie potrzebuję twych pieniędzy, nasz syn jest wielkim aktorem, on mi ich daje ile zechce.

On: Aktorem! Może weźmie mnie na statystę, nie będę musiał kraść po nocach.

Ona: Oczywiście. Da ci zajęcie, ale nie będzie ci wolno kraść na scenie.

On: I będę mógł się patrzeć na najpiękniejsze aktorki, na kochanki syna.

Ona: Nasz syn jest wyższy ponad miłostki. On ma jedną, i jest jej wierny na śmierć i życie.

On: O idzie nasz syn. Dlaczego ma czarną twarz?

Ona: Bo gra Otella. Znasz przecież tą sztukę.

On: Nie pamiętam. Ale dlaczego poczercił twarz?

Syn: Ojcie czy nie widziałeś gdzie Desdemony?

On: Nie duś jej. Ona jest niewinna.

Syn: Muszę, tak kazał Szekspir. To najmocniejsza scena, dla niej przychodzą, dają za bilety.

Ona: Duś ją dobrze, żebyś dostał podwyżkę. Inni dybią na tę rolę, ale u ciebie wychodzi ona wspólnie.

Syn: Mamo, niech Desdemona poda coś z bufetu, może placek.

Ona: Desdemono, czy słyszysz?

Desdemona: Już się robi.

Syn: Jak to dobrze mieć bufetową w rodzinie. Chyba za placek nie będziesz płacić?

Desdemona: Nie to mi się należy, wyżywienie mam darmo, za to płacą mało.



Ona: Zmień zajęcie kiedy tak. Gdzie indziej będziesz miała więcej.

On: Daj jej spokój. Tu czysto i ciepło. Gdzie indziej by się dusiła w zaduchu.

Światło zmienia miejsce. Słońce odchyła się coraz bardziej na zachód, oświetlać zaczyna inną parę. On i ona z dzieckiem na reku. Ale to inna para, tamta zapada w mrok.

Ona: Widzisz jak ten facet przewraca oczyma. Choć wszystko zjadł nie odchodzi. Podobam mu się coraz bardziej.

On: Daj spokój. On patrzy na naszego małego.

Ona: Chciałabym by został aktorem. I to wielkim aktorem jak Valentino albo Novarro.

On: Czy to ważne. A ten facet to rzeczywiście wierci cię oczyma. Uważaj na torbę. Może to złodziej. A może morderca, i gdybyś z nim poszła mógłby cię udusić.

Ona: Mnie udusić, zwariowałaś. Jakbym go gwizdała. Ale poniżej sześciu to nie. Taka taryfa. Ewentualnie za piątkę. Bo mi się podoba, że taki bezczelny.

On: Gdyby był nasz syn aktorem nie musielibyśmy się tak męczyć. To dobry zawód. Nie pracujesz ani nawet nie kradniesz, a masz forszę.

I robi co chce. Taki na przykład Otello, dusi sobie Desdemonę codziennie, i z tego fajnie żyje.

Stefan Legeżyński

## BANK PANA MONDRASZKA (Dok. ze str. 3)

Pan Mondraszek spojrział na żonę jak na chorą osobę.

A gdzie? Powiedz mi gdzie? Książki z półek wyrzucili, szuflady w kredensie przetrząsnęli, fotele od spodu przeglądali, kanapę przenicowali, do wazonu patrzyli, pod obrazy wkładali ręce, a pod dywan nie. Pod dywanem bezpiecznie jak w Banku. Co ja mówię? Bezpieczniejsze!

Pani Mondraszkowa rzuciła się na zwichrowaną kanapę i zaniosła się płaczem.

— Głupia — oburzył się Mondraszek — przecież ani funciak nie zginął. Patrz — zawołał wskazując na kominek — nawet pogrzebacz zgięli, a funciaków nie znaleźli. Trzeba wiedzieć gdzie chować pieniądze.

Pani Mondraszkowa płakała coraz głośniej. Pan Mondraszek był zdumiony. Nie wiedział nic o wysiłku pani Doci, gdy własnoręcznie pogrzebaczem wyłamywała zamek, gdy przewracała meble, gdy z bólem serca stłukła wazon, gdy natężyła się przesuując półki i kanapę. Wszystko na nic. Nie zachwiany w swych przekonaniach Mondraszek ani myślał zanieść pieniądze do banku i usunąć z domu denerwujące niebezpieczeństwo.

— Pod dywanem jak w banku, chociaż — zastanowił się głęboko — wydaje mi się, że lepiej będzie przesunąć pod ten róg od strony okna.

Czesław Dobek

## UWAGI NA CZASIE

### ROZCZAROWANIE

Nakręcono już film z Lolity,  
Ale wielbiciele perswazji obędą się smakiem,  
Bo zamiast pana w średnim wieku i  
zdeprawowanego dzieciaka,  
Jest po prostu starszy dureń z kociakiem.

### SPRAWIEDLIWOŚĆ NATURY

Natura jest tak sprawiedliwa,  
Że każdą korzyść wyrównywa stratą:  
Mieliliśmy bardzo długą zimę,  
Za to będzie bardzo krótkie lato.

### TRIUMF WYMOWY

„Milczenie jest znakiem zgody!“ —  
Krzyknął mówca, triumfalnie spojrzawszy po sali.  
I rzeczywiście nikt nie protestował,  
Bo wszyscy głęboko spali.

### FATALNE SKUTKI ZABIEGÓW PSYCHIATRYCZNYCH

Jan podlegał wciąż pokusie,  
Aby usiąść na kaktusie;  
Aż psychiatra wytłumaczył,  
Co to taki kompleks znaczy.  
Dzisiaj Jan, po latach wielu,  
Boi się usiąść na fotelu.

### POWÓD

Pytał Zenon Albina, jaka tego przyczyna,  
Że nasz sztandar ma biały kolor nad czerwonym;  
Albin spojrział z wyższością i tak odrzekł ze  
złością:

„Inaczej by zaciekał, kiedy zamoczony!“

### WYJAŚNIENIE

Dzisiaj to psychologia wytłumaczyć umie,  
Że człowiek się nie gniewa, gdy czego nie rozumie.  
Po takim wyjaśnieniu mogą pojąć prędzej,  
Czemu mnie irytuje stały brak pieniędzy.

### JEDNOLITA

Ciało miała alabastrowe  
I taką samą (zwłaszcza w środku) głowę.

### MYŚL HISTORYCZNA

Argonauta  
Nie używał auta.  
Świetnie rozumiem argonaute,  
Bo jak przez morze jechać autem?

### WESTCHNIENIE OSMIOLATKA

Wieloryb ma w nosie szpary,  
Którymi w górę wypuszcza ślup pary.  
To ja rozumiem — taka w nosie szparka!  
Gdy ja tak robię, tylko się zasmarkam!

Rawicz



## Z OBCYCH WYDAWNICTW

Ktoś wyraził się że Tomasz Mann to doskonały pisarz, ale „przebrzmiały“. To zupełnie tak, jakby ktoś historię uważał za przebrzmiałą. Bo Mann, kronikarz swojej epoki, nie tak dawnej, bo pół wieku nawet nie minęło od „Czarodziejskiej Góry“, czy „Krypty Kapucynów“, operuje formą która nie może — a raczej nie powinna — być przebrzmiała. Tematyka Mann'a, to historia. Więc gdzie „wyjście z mody? „Chciałabym, aby dzisiejsi pisarze zdolni byli do równie prostego a sugestywnego wyrażania myśli, jakie znajdujemy w książkach Mann'a.

„Le Journal du Docteur Faustus“ (wydanie Plon), praca jakby się zdawało łatwa, bo nie temat lecz dziesiątki tematów same wpadają pod pióro, powstała w rzeczywistości po latach mozolnego przemyślenia zebranych obserwacji. Zwłaszcza, że przy całej prostocie, Mann w każdym drobnym zjawisku szuka głębszego znaczenia dlatego, że go w nim wyczuwa. Stara się więc go uchwycić i utrwalić. „Journal du Docteur Faustus“, w tłumaczeniu Louisy Servicen, przygotowany przez Marcel Brion, to autobiografia czteroletniego pobytu pisarza w Kalifornii, od 1943 do 1947 r. Poprzez odbite jak w lustrze życie Los Angeles i codzienne obserwacje, mające — jak wspomniałam — dla Mann'a zawsze cenne znaczenie, widzi się wypadki polityczne, zagadnienia moralne, socjalne, które tak wyraźnie uwydatniały się po roku 1940. Na tym tle, „Le Journal du Docteur Faustus“ nabiera innego znaczenia. To nie sam obraz amerykańskiej przygody pisarza, to świadectwo dla człowieka, który umie zejść w życie i patrzeć na nie z bliska, tak wnikać w drobiazgi, by żadnego szczegółu nie pominąć, a potem z wyżyny, do której wraca, wyciągać z tego wnioski.

Pasjonujące dzieła — dla specjalnego czytelnika, ale nie koniecznie dla wybranego — to dzieła Daniela Ropsa, członka Akademii Francuskiej.

Życie na ziemi Jezusa Chrystusa, dzięki pracom egzegetów i odkryciom archeologicznym, z których najciekawsze może są manuskrypty z nad Morza Martwego, poznaje się coraz dokładniej. Daniel Rops, najbardziej zapalony szperacz dąży do ukazania postaci Chrystusa w świetle faktów, w Jego otoczeniu, w atmosferze Palestyny, okupowanej przez Rzymian. W poprzedniej pracy „Jésus en son temps“, Daniel Rops zaczyna poszukiwania od źródeł historycznych co wcale nie było łatwe, ponieważ ówczesne kroniki, zapewne z powodu końcowego aktu tragedii, może z powodu wstydu w poczuciu winy, przede wszystkim niechęci, rzadko i skąpo wspominają o Jezusie. W „La vie quotidienne en Palestine au temps de Jésus“ (wydanie Hachette), obraz staje się już pełniejszy, bogatszy, szczegółowy. Przedstawia materialne warunki Chrystusa na ziemi, Jego dom, ubranie, pożywie-

nie, następnie życie duchowe, język, którym mówił, pisma, księgi; kontakty Chrystusa z ludźmi i Jego przyjaźnie.

Daniel Rops odpowiada niemal na każde pytanie czytelnika. Niczego nie zaniedbuje, niczego w swoich poszukiwaniach nie pomija. Ani pism świętych i świeckich, ani traktatów talmudycznych, z których wiele pochodzi z ery stojącej najbliżej ery Chrystusa. Tak ogromny materiał dokumentacyjny ujął w całość, dając książkę niesłychanie ciekawą i wielkiej wartości.

\* \* \*

Chociaż Alger znany jest od wieków, w rzeczywistości nie każdy, kto tam był czy mieszkał, zapytany o historię Algeru, bez zająknięcia da wyczerpującą odpowiedź. Obecnie, kiedy zajmuje umysły całego świata, kiedy w kraju uważanym dotychczas za rezerwat „jako tako ucywilizowanego prymitywu“, barbarzyństwo nie ludu pół-dzielnego, lecz Europejczyków, zaciążyło na każdej piędzi ziemi. Productions de Paris uważało widocznie za wskazane „by ogół oświecić. Dlatego też ukazała się „Histoire de l'Algérie“ opracowana przez czterech autorów.

Jean Lassus, dyrektor „Antiquités d' Alger“ szkicuje prehistoryczne dzieje kraju, epokę kartagińską, maurytańską, rzymską, wandalską, bizantyńską. Georges Marcais, członek Instytutu, zatrzymuje się dłużej na erze arabskiej, od Almorawidów (co w języku arabskim oznacza marabuta -al-morabitum) do czasów królestwa Tlemcen. Léo Barbés daje obraz panowania tureckiego, mówi o Barberousse'ach (mimo nazwy nie mających nic wspólnego z Fryderykiem I) dwu braciach piratach, panach Algeru, z których jednego zabili Hiszpanie w 1518, a drugi, dowódca floty tureckiej Selima I, zmarł śmiercią własną w 1546 r. Następnie Louis Mouilleseaux, redaktor wydawnictwa i Pierre Bayer, podają dlaczego i w jaki sposób Francuzi weszli do Algeru, kraju w którym „trzeba było zrobić wszystko“. Dopiero po tak dokładnym, a przede wszystkim szczerym przedstawieniu gleby pod tzw. „francuski kolonializm“, obaj z pomocą Jean Farran, obserwatora i reportera ostatnich wypadków algerskich, (dla jednego z wielkich tygodników francuskich), mówią o początkach ruchu narodowego w Algerze i — między narodowego, z których wynikł dzisiejszy dramat. Praca kładzie nacisk na 300 lat wysiłku francuskiego i wykazuje, że Francja, jak żaden naród „kolonizatorów“, ma pełne prawo by powiedzieć, że sumienie jej jest czyste.

— Kochanie, chciałam ci powiedzieć jedną rzecz, ale się wstydzę... Wkrótce będzie nas troje!

— Najdroższa! Jakże się cieszę!

— To świetnie! Bo właśnie mama mi pisze, że postanowiła zamieszkać razem z nami.